NUMER 1. ROCZNIK II. STYCZEŃ 1898.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT. XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku, dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św. LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia 9go maja 1876 r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Rożańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties,** *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Luty.

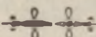
2. Oczyszczenie Najśw. Maryi Panny.
4. Św. Józefa z Leonessa.
13. Św. Anieli z Foligno.
22. Katedry św. Piotra w Antyochii.
23. Św. Małgorzaty z Cortona.
25. Św. Macieja Apostoła.

MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy,** *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa,** *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyścu cierpiące.)



OD WYDAWNICTWA.

Otrzymaliśmy z wielu stron zapytania, czy nowe „Związki mszalne" najróżniejszych nazw i form, jakie się w ślad za naszym **salezyańskim Związkiem mszalnym Najsłodszego Serca Jezusowego** ukazały, są prawdziwymi lub nie.

Odpowiadamy na to: Ani jednego z nich nie mieliśmy dotąd sposobności poznać. **Pomocnicy** nasi postąpią najlepiej, jeżeli wpierw, zanim się do nich zapiszą, postarają się upewnić, czy „Związki," o których mowa, są przez Kościół zatwierdzone.

Nasz bowiem **salezyański Związek mszalny Najsłodszego Serca Jezusowego** ma za sobą zatwierdzenie kościelne i błogosławieństwo Ojca św.; temu niezawodnie należy przypisać jego szybkie szerzenie się w ziemiach polskich.

* * *

Zdarzało się nieraz, zwłaszcza w ziemiach polskich pod zaborem pruskim, że **Pomocnicy** nasi otrzymywali dwa *buletyny salezyańskie*: niemiecki i polski (*Salesianische Nachrichten* i *Wiadomości salezyańskie*).

Pragnąc obecnie uporządkować nakład naszych wydawnictw, oświadczamy niniejszem, że począwszy od Nowego Roku wysyłać będziemy **Pomocnikom** naszym narodowości polskiej na Górnym Śląsku, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i na Warmii, jak również przebywającym w innych stronach Cesarstwa niemieckiego, **tylko** buletyn polski pod tytułem: „**Wiadomości salezyańskie.**"

Ktoby prócz polskiego życzył sobie pobierać buletyn jeszcze w innym (np. *niemieckim*, lub *francuskim*) języku, powinien się o to osobno do nas zgłosić.

* * *

Po ukazaniu się w nr. 11 (listopadowym) „**Wiadomości salezyańskich**" artykułu o *Mszach św. gregoryańskich*, otrzymaliśmy liczne zapytania od **Pomocników,** czy powyższe Msze święte odprawiamy.

Odpowiedź: Msze św. gregoryańskie, zwłaszcza za zmarłych **Pomocników** naszych i członków ich rodzin, odprawiamy zawsze jak najchętniej.

Bliższych wiadomości, tyczących się czasu odprawiania i wysokości stypendyum, udzielamy piśmiennie.

* * *

Zapytują nas dalej z różnych stron **Pomocnicy** nasi, czy datki swe i ofiary, bądź na *misye*, bądź do *Związku mszalnego*, lub *Związku Pomocników salezyańskich*, mają posyłać na ręce Wgo X. Bronisława Markiewicza do „Zakładu X. Bosko" w Miejscu Piastowem w Galicyi, zamiast (jak się to zwykle czyni) do Turynu, pod adresem **X. Michała Rua,** jenerała Zgromadzenia salezyańskiego.

Odpowiadamy na to:

1) X. Bronisław Markiewicz, proboszcz w Miejscu Piastowem (dyecezya przemyska) **nie jest** już członkiem Zgromadzenia salezyańskiego;

2) tak zwany „zakład X. Bosko" w Miejscu Piastowem **nie jest** zakładem Zgromadzenia salezyańskiego, założonego przez X. Bosko; i niema tam wogóle żadnego członka naszego Zgromadzenia;

3) wszelkie czynności i przedsięwzięcia X. Bronisława Markiewicza nie mają nic wspólnego z czynnościami i przedsięwzięciami Zgromadzenia salezyańskiego *jako takiego*;

4) wszystkie zatem, czyto datki i ofiary na cele *misyi*, czy też przesyłki lub korespondencye w sprawach któregokolwiek ze **Związków** salezyańskich, należy wysyłać do Turynu, na ręce X. Michała Rua.

SPRAWOZDANIE
Najprzew. X. Michała RUA
za rok 1897.

Przezacni salezyańscy Pomocnicy, Czcigodne Pomocnice,

Czas, co chyżym naprzód pędzi lotem i którego nic w świecie powstrzymać nie zdoła, doprowadził nas oto do końca jednego roku a stawił przed początkiem drugiego. Z łaski Wszechmocnego Stwórcy, który raczył nas zachować przy życiu, zaczynamy od dzisiaj liczyć o jeden rok więcej — czasu i naszego życia.

Początek tej odrobiny czasu, którą my zowiemy rokiem, — rozliczne a zmienne koleje, których skutków w tegoż ciągu łatwo doświadczyć mogą misye i zakłady nasze, — dobro wieczne, jakie z pomocą Bożą w niejednem przedsięwzięciu osiągnąćby się dało, — trudności, które z wszelką pewnością na drodze naszej napotkamy, — wszystko to razem wzięte, stanowi dla mnie przedmiot poważnych rozmyślań i porusza mnie do głębi. Czy dziwna zatem, że czuję konieczną potrzebę wynurzyć Wam, — jak to się dziać zwykło pomiędzy członkami tejsamej rodziny — nawet najbardziej poufne myśli i rozważania moje i że pragnę wtajemniczyć Was we wszystkie nasze sprawy i dać Wam poznać to, co mnie cieszy i boli, czego się spodziewam a czego lękam, cośmy już zdziałali lub rozpoczęli, a co chcielibyśmy dopiero przedsięwziąć na większą chwałę Bożą i pożytek zbawienny dusz?

Z drugiej znowu strony wiem to z własnego doświadczenia, z jaką życzliwością i jakiem zajęciem drodzy nasi **Pomocnicy** i **Pomocnice** czytają mój list, który każdego roku na początku stycznia do nich wysyłam i w którym im zdaję sprawę z obecnego stanu dzieł salezyańskich, jak niemniej, z jaką skwapliwością przyjmują i wykonywują wszystko, co dobrej ich woli i ofiarnemu sercu pozwalam sobie przedłożyć.

Tem chętniej więc zabieram się do stawienia przed oczy Wasze to, co w ubiegłym roku dokonaliśmy, pewny będąc, że wyniki zabiegów naszych, otrzymane za łaską Wszechmocnego i wspólną pracą naszą, będą tak dla **Salezyanów**, jak dla **Pomocników**, bodźcem ustawicznym, ażeby z tem większym zapałem zabrać się do pracy na niezmierzonem polu miłości chrześcijańskiej.

Rozszerzenie zakładów już istniejących.

Na nagłówku *buletynu salezyańskiego*, od samego początku jegoż istnienia, napisał był X. Bosko własnoręcznie następujące słowa Ewangelii św.: *messis quidem multa, operarii autem pauci* = żniwo jest wielkie, ale robotników mało. Jakkolwiek myślą czcigodnego naszego Założyciela było zastosować Boskie te słowa w szczególności do misyi zagranicznych, to jednak widoczna jest, że należy je również odnieść do wszelkiego przedsięwzięcia, mającego na celu zbawienie dusz, jakie Opatrzność Boska sama daje nam w ręce.

Od misyonarzy naszych nieledwie codziennie otrzymujemy usilne prośby, byśmy im słali pomoc: jakkolwiek bowiem dość licznem już jest ich grono, to jednak całkiem niedostateczne w porównaniu z potrzebami, z jakiemi się na polu pracy ciągle spotykają. Prócz tego z każdego kraju, dokąd już dotarło imię księdza Bosko, nadchodzą naglące prośby, abyśmy otwierali domy i zakłady salezyańskie. Tu musimy również dodać, że żniwo ewangeliczne, o którem powyżej mowa, wzrosło do niesłychanych rozmiarów nawet w takich miejscowościach, gdzie dzięki ofiarności naszych **Pomocników**, powstały już domy salezyańskie; to też z każdym dniem rozszerza się zakres tychże działania, a z tego oczywiście wypływa gwałtowna potrzeba ich rozszerzenia i uzupełnienia.

Pomiędzy takimi zakładami naszymi, które w pierwszej linii należało powiększyć w ciągu ubiegłego roku 1897, wymienić nam przychodzi przedewszystkiem te, gdzie młodzież, która poszła za głosem powołania, ćwicząc się w nauce i pobożności, zaprawia się do życia salezyańskiego.

I tak w kolegium, pod wezwaniem Narodzenia Najśw. Maryi Panny w **Ivrei**, koniecznie trzeba było większe nadać rozmiary tamtejszej osadzie rolniczej, którą codopiero byliśmy założyli, jak niemniej połączonej z nią szkole teoretyczno-praktycznej. Tym końcem posunęliśmy znacznie naprzód kopce małej naszej włości, a to zakupiwszy spory kawał sąsiedniego gruntu.

We **Foglizzo** byliśmy zmuszeni rozpocząć budowę obszerniejszego gmachu, szczupły bowiem i ciasny dotychczasowy lokal nader ujemnie oddziaływał na stan zdrowia naszych nowicyuszów.

Było również powszechnem życzeniem, ażeby Oratoryum w **San Benigno Canavese** posiadało kaplicę, którąby była mniej niegodną majestatu tego Boga, który raczy przemieszkiwać w tabernakulum naszych świątyń, a zarazem była obszerniejszą i wogóle w takich postawioną warunkach, któreby odpowiadały liczbie uczęszczającej do niej młodzieży. Otóż życzenie to obecnie się spełniło: Oratoryum w **San Benigno** posiada piękną nadzwyczaj kaplicę, i można sobie tuszyć, że tem bardziej pobudzać będzie do pobożności miłą sercu naszemu młodzież, która tam z zapałem się przygotowuje do zawodu, jaki ją czeka w niedalekiej przyszłości: mają z niej bowiem wyjść dzielni majstrowie i przewodnicy młodych naszych rzemieślników w pracy i cnocie.

Nie mogę dalej pominąć milczeniem szczęśliwej zmiany, jaka się dokonała w naszem kolegium w **Lanzo Torinese**, gdzie w dokupionym, a odpowiednio do potrzeb przebudowanym przyległym budynku (dawnym klasztorze) można było przysposobić miejsce na umieszczenie znacznej liczby wychowanków.

Raczej *założeniem* nowego, niźli *powiększeniem* już istniejącego domu wypadałoby nazwać przebudowanie, jakiemu uległ niedawno dom nasz w **Nowarze**. Jak to snać już o tem wiecie, przezacni **Pomocnicy**, istniała w tem mieście blisko od lat pięciu *kaplica świąteczna*, założona za sprawą nieodżałowanej pamięci X. Biskupa Riccardi'ego i godnego jego następcy na stolicy biskupiej w **Nowarze**, X. Biskupa Pulciano. Ofiarnością **Pomocników** naszych, a zwłaszcza pewnej dobroczynnej Pani, którą śmierć nieubłagana zawcześnie z liczby żyjących wydarła, stanął w **Nowarze** zakład salezyański; akt jego poświęcenia odbył się zeszłego października, sam zaś zakład stanie się niechybnie przystanią zbawienia dla wielkiej liczby z tamtejszych okolic chłopczyków.

Tak samo znaczne w dopieroco upłynionym roku poczyniły postępy Oratoryum Najsłodszego Serca Jezusowego w **Bolonii**, co jak sądzę, nadzwyczaj ucieszy wiele dusz pobożnych i miłością ku młodzieży przejętych, które nie wahały się uważać niejako za swój własny, zakład X. Bosko, wzniesiony w ich rodzinnem mieście. Młodzi Bolończycy tak licznie odwiedzają *kaplicę świą-*

teczną, iż już teraz nagła zaszła potrzeba, założyć drugą taką samą. Nie dość na tem; opodal *kaplicy świątecznej* buduje się *schronisko*, gdzie jeszcze w ciągu bieżącego roku będzie można rozpocząć szkoły i założyć warsztaty, z wielkim dla biednej, a moralnie opuszczonej młodzieży, pożytkiem. Nie tajno mi wprawdzie, jakie przez to na siebie nakładają ofiary szlachetni nasi dobrodzieje z miasta **Bolonii**, by ile możności jak najprędzej wykończyć budowę, którą byli rozpoczęli; wiem atoli z drugiej strony dobrze, że nie dadzą się niemi odstraszyć, biorąc sobie tak w tem, jak we wszystkiem innem, wzór i zachętę od Jego Eminencyi, X. Arcypasterza bolońskiej archidyecezyi.

Pomocnicy nasi, narodowości włoskiej, czytali niezawodnie z zajęciem w *Bollettino Salesiano* o uroczystem otwarciu instytutu św. A m b r o ż e g o w **Medyolanie**. Było to godne zakończenie wspaniałych uroczystości, na cześć św. A m b r o ż e g o w temże mieście odbytych. Jakkolwiek czasu swego uczyniłem to był już ustnie, to jednak muszę także w niniejszym okólniku złożyć wyraz z serca płynącej podzięki Jego Eminencyi, X. Kardynałowi Ferrari i wszystkim najprzewielebniejszym XX. Arcybiskupom i Biskupom, którzy przy tej sposobności raczyli i swoją obecnością i słowami, pełnemi dobroci, zachęcać nas do prowadzenia dalej już raz rozpoczętego dzieła. Ich słowa zachęty z pewnością przyczyniły się do podniesienia nas na duchu, gdyż mimo usilnych starań i wytrwałości komitetu i subkomitetu medyolańskiego — obydwóch tyle zasłużonych około sprawy salezyańskiej, zwłaszcza w zbieraniu potrzebnych na wykończenie budowy ofiar — pozostaje jeszcze wiele tysięcy lir do spłacenia. Do Boskiej Opatrzności, której przedstawicielami są niejako liczni nasi dobrodzieje medyolańscy, zanosimy korne błagania, aby nam co rychlej raczyła przyjść w pomoc, iżbyśmy cierpliwych naszych wierzycieli zaspokoić mogli.

W **Tournay, w Belgii**, gdzie dotychczasowy gmach salezyański, mieszczący w sobie zakład św. K a r o l a, okazał się całkiem niedostatecznym, trzeba było przedsięwziąć nową budowę i w ten sposób uwzględnić więcej próśb o przyjęcie na wychowanie ubogich chłopczyków, z wielu stron gorąco nam poleconych.

Co tu wspominam, nastąpiło również (tylko w szerszych nieco rozmiarach) w kolegium naszem w **Leodyum**.

Założenie nowych domów salezyańskich w r. 1897.

Obawa zalewu ze strony rosnącego z dniem każdym nowego pokolenia, prawie doszczętnie pozbawionego nieocenionego dobrodziejstwa, jakie swoim wyznawcom przynosi wiara katolicka; gorące pragnienie sparaliżowania, w miarę sił i środków, niecnych zamiarów ludzi bezbożnych, usiłujących zatrzeć w umysłach młodzieży pojęcie o Bogu i wieczności, podały różnym Biskupom i kapłanom, jak również wielu osobom świeckim, myśl, wezwać w pomoc synów X. Bosko, aby skuteczną pracą i działaniem swojem, na polu zwłaszcza wychowania młodzieży, poparli chwalebne ich wysiłki i starania o zaradzenie złemu.

Stąd płyną liczne nader propozycye, jakie zewsząd otrzymujemy, aby tu i owdzie założyć nowy dom salezyański. Brak dostatecznego personalu zmusza nas niestety do dawania corocznie na podobne podania odpowiedzi odmownej takim nawet osobom i dobrodziejom naszym, których życzenia sami z największą chęcią pragnęlibyśmy spełnić. Pomimo to, ze względu zwłaszcza, by dotrzymać danej poprzednio obietnicy i przyjść z pomocą tam, gdzie więcej, aniżeli gdzieindziej okazała się tego potrzeba, daliśmy początek różnym zakładom i przedsięwzięciom, które z lekka tylko pozwolę sobie dotknąć.

W **Alessandrii, w Piemoncie**, otworzyliśmy *kaplicę świąteczną* w lokalu, o jaki z gorliwością i wytrwałością, wyższą nad wszelkie pochwały, postarał się komitet prze-

zacnych naszych tamtejszych Pomocników. Dałby Wszechmogący Bóg, iżby nowy ten zakład salezyański, który zaczął się tak samo skromnie, jak tyle innych zakładów naszego Ojca i Założyciela, przyczynił się do sprawienia tego dobra, jakie nasi alessandryjscy dobrodzieje spodziewają się po synach X. Bosko.

Powierzono również Salezyanom kierownictwo *kaplicy świątecznej* i posługę duchowną w jednym z kościołów Pavii. W dzień Wszystkich Świętych roku zeszłego, przedstawił licznie zgromadzonym Wiernym co dopiero przybyłych Salezyanów gorliwy X. Arcypasterz tamtejszej dyecezyi. Że także w Pavii czeka nas obfite żniwo ewangeliczne, o tem mieli bracia nasi sposobność przekonać się zaraz po swojem przybyciu.

Nowozałożony dom w Caserta jest już na ukończeniu; w jego kaplicy, dostępnej także dla publiczności, odprawia się już nabożeństwo; *kaplica świąteczna* jest również już tam czynną, a do świeżo zorganizowanych kilku klas elementarnych uczęszcza wcale liczne grono chłopców przychodnich.

W roku ubiegłym objęliśmy w zarząd niedawno wzniesione zakłady w Piza, Sondrio i Jesi.

Sycylia posiada obecnie o dwa zakłady salezyańskie więcej: w Pedara, na stokach wulkanu Etny (który to dom jest przeznaczony dla t. z. Synów Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki) i w Terranova, gdzie członkowie naszego Zgromadzenia objęli zarząd miejscowego gimnazyum i liceum miejskiego.

Przechodząc teraz do Francyi — jakkolwiek i tu młodzi członkowie naszego Zgromadzenia napotykają w swoim zawodzie na liczne przeszkody z przyczyny obowiązku służby wojskowej, to jednak zdołaliśmy założyć szkoły rolnicze w Lons-le-Saunier (w dyecezyi Saint-Claude) i w Saint-Genis-de-Saintouge (w dyecezyi La Rochelle), prócz tego dwa zakłady dla ułatwienia dostąpienia stanu duchownego w dojrzałym już wieku będącej młodzieży, i to w Toulon i w Rueil pod Paryżem.

Także w Hiszpanii powiększyła się znacznie liczba zakładów salezyańskich. W ciągu jednego roku założyliśmy w Malaga *schronisko* św. Bartłomieja, w Carmona szkoły Najśw. Sakramentu, w Baracaldo (prowincyi Bilbao) Oratoryum św. Paulina z Noli, w Ecija Oratoryum salezyańskie i nareszcie w Sewilii Oratoryum św. Benedykta.

Nowy dom założyliśmy również w Portugalii, jeden w Anglii w pobliżu Londynu i jeden w Szwajcaryi w Muri (kanton Aargau) dla rzemiosł i rolnictwa.

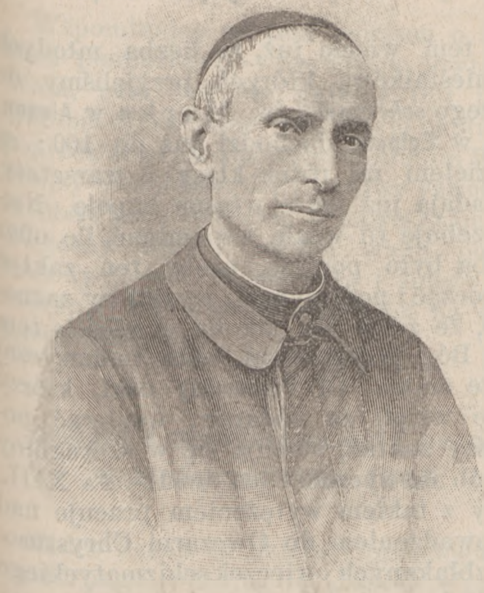
Krótki ten rys działalności naszej, czy to w zakładaniu nowych domów, czy też w rozszerzaniu i uzupełnianiu już istniejących (przyczem pomijam rzeczy mniejszej wagi), niech wystarczy za dowód, jak obfitem jest żniwo na polu, na którem pracujemy, a zarazem niech Was przekona, że niepodobieństwem jest nam wstrzymać się na naszej drodze; tak potężny jest głos, który bezustannie w sercu naszem woła: **naprzód! ciągle naprzód!**

Nowe zakłady Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.

Gdyby rozmiary niniejszego listu mi na to pozwalały, pragnąłbym w bieżącym roku pomówić z Wami nieco obszerniej o zakładach, wzniesionych staraniem Sióstr Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Chrześcijan. Byłoby to rzeczywiście zadaniem nader wdzięcznem, teraz zwłaszcza przy sposobności pierwszego dwudziestopięciolecia ich Zgromadzenia, porównać tegoż stan obecny z jego początkami w Mornese. Nie byłoby wcale trudnem wykazać, że Pan Bóg błogosławić raczył temu drugiemu dziełu apostolskiego serca księdza Bosko w równie hojnej mierze, jak pierwszemu, t. j. Salezyanom. Jak na teraz muszę jednakże tego zaniechać i ograniczyć się na poleceniu dobroczyn-

ności Waszej ich zakładów, zaznaczając w kilku zwięzłych słowach rozwój, jakim się one cieszyły w dopieroco ubiegłym roku.

We **Włoszech** — pominąwszy stopniowe rozszerzenie pojedyńczych domów a poszczególnych dzieł każdego z nich zosobna, założono zeszłego roku *dziewięć* nowych domów. *Sześć* z nich są to *schroniska* dla dziewcząt, łączą się zaś z niemi szkoły i *kaplice świąteczne* (podobnież dla dziewcząt).



X. Michał RUA.

Domy te, o których mówimy, wznoszą się w **San Marzano Oliveto**, w **Trofarello**, **Diano d'Alba**, **Berceto**, **Cavaglio d'Agona** i w **Mornese**.

Ostatni ten dom był otwarty ku szczególnemu mojemu zadowoleniu: w taki bowiem sposób wracają **Siostry Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki** po 25 latach swego istnienia do miasteczka, gdzie stała kolebka ich Zgromadzenia.

W **Conegliano Veneto**, wskutek nalegania i z poparciem komitetu czcigodnych tamtejszych naszych **Pomocnic** (na którego czele stało miejscowe duchowieństwo), założono konwikt dla dziewcząt, szkołę kobiecych i *kaplicę świąteczną*.

W **Giaveno** otworzono konwikt pod wezwaniem *Matki Boskiej Bolesnej* dla takich niewiast, które nie mając obowiązków familijnych, pragną osiąść na dewocyi.

Do **Campione** wreszcie, nad jeziorem *Garda*, powołano **Siostry Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki**, by tam wzięły w swoją opiekę liczny personal robotniczy żeński, zajęty w fabryce i warsztatach p. F e l t r i n e l l i.

Znaczny rozwój przybrały również domy **Siόstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki**, we **Francyi** i **Hiszpanii**.

I tak: wzrost liczby wychowannic i innych osób, umieszczonych w konwikcie głównego domu **Sainte-Marguerite** (koło **Marsylii**), spowodował rozszerzenie gmachu i wystawienie nowej kaplicy, mogącej pomieścić tak personal domowy, jak wiernych, przychodzących z sąsiedztwa.

W **Guînes**, prócz domu sierot, jaki tam już istnieje, idąc za radą osób, którym na sercu leży dobro zbawienne miasta, wzniesiono jeszcze *ochronkę*, połączoną z odpowiednią szkołą.

W **Charente**, w **Étagnac**, w dyecezyi **Angoulême**, w ubiegłym miesiącu objęły **Siostry Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki** kierownictwo domu sierot, przeznaczonego głównie dla dziewcząt wiejskich.

W **Barcelonie** w **Hiszpanii** można było nareszcie wprowadzić w życie zakład dla biednych dziewcząt, na jednem z przedmieść tego ludnego miasta, siedzibie ubóstwa wszelkiego rodzaju. Wiadomości, jakie stamtąd otrzymuję, są tego rodzaju, że mogą naprawdę pociechę sprawić wszystkim tym, którym dobro publiczne leży na sercu

Innemu, do powyższego podobnemu zakładowi, dano początek kilka tygodni temu w mieście **Jerez de la Frontera**.

Przechodząc teraz do **misyi** — wiadomo **Pomocnikom** naszym z „**Wiadomości salezyańskich**“ (nr. grudniowego) o odjeździe na misye licznego grona **Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.** Jedne z nich udały się do **Ziemi świętej**, inne do **Tunis**, a jeszcze inne do **Algeru**, aby zapełnić braki w personalu po niektórych naszych stacyach misyjnych.

Do **Ameryki południowej** odpłynęły w listopadzie 22 zakonnice, z których dziesięć udało się do **Brazylii**, gdzie ich pomoc okazała się konieczną z powodu założenia domów w **Ouro Preto** i **Ponte Nova**, na otwarcie których to zakładów dwa lata temu udawał się był X. Biskup LASAGNA wraz z towarzyszami, a którzy wszyscy padli ofiarą strasznej katastrofy z dnia 5go listopada 1895. Inne poszły zasilić szczupły zastęp współzakonnic, przetrzebiony założeniem stacyi misyjnych nad *Colorado* w **Patagonii**, jak niemniej nowego domu w **Callao** (rzeczposp. **Perù**).

Nasze misye.

Każdego dnia, na każdym punkcie kuli ziemskiej, z milionów serc, płonących ogniem miłości chrześcijańskiej, wznosi się do tronu Wszechmocnego Boga modlitwa: ***święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja!*** Szczęśliwi ci, co w zawodzie apostolskim pełniąc służbę na dalekich kresach, mogą się przyczynić, aby i tam znano Imię Boga, aby Pan Bóg królował w sercach ludzkich i ażeby tu na ziemi działa się Jego wola, wpajając zachowywanie Jego przykazań!

Do tego zaszczytu, do tej chwały — być **Pomocnikami Bożymi** —dążą z zapałem synowie księdza BOSKO, żeby zaś wzniosły ten cel osiągnąć, nie wydaje im się zbyt trudnem, opuścić ojczyznę, rodziców i krewnych, wyrzec się wygód, w jakie opływa tryb życia w krajach cywilizowanych, ażeby się skazać dobrowolnie na nieuchronne skutki zabójczego klimatu, nieznośnego gorąca i niedostatku wszelkiego rodzaju.

Przychylając się do ich życzeń — jak to już Wam donosiły „**Wiadomości salezyańskie**“ — wysłałem grono naszych misyonarzy do rzeczypospolitej **San Salvador (w Ameryce środkowej)**, w której tak władze duchowne, jak cywilne, za wspólną zgodą uchwaliły, powierzyć im dziatwę i młodzież, ażeby ją chowali w zamiłowaniu do pracy i życia cnotliwego.

Przyjęliśmy również wezwanie, aby otworzyć szkoły na wyspie **Curaçao**.

O tem wiecie już, że liczba młodych rzemieślników, których przyjęliśmy do naszego *schroniska* św. M a r k a w **Alexandryi, w Egipcie**, dochodzi już do 100; są podzieleni na różne klasy i warsztaty, posiadają już także własną kapelę. Niepotrzebuję tu wcale wspominać, ile ofiar trzeba było ponieść, ażeby ten zakład rozpocząć i podtrzymać; wystarczy zaznaczyć, że zdaje się, jakoby w mieście tem Pan Bóg przygotował nam nadzwyczaj obfite żniwo. Ci **Pomocnicy** nasi, którzy sobie wzięli za zadanie, wspierać powyższy zakład, stosują się w szczególny sposób do życzeń Ojca św. LEONA XIII., który z takiem wytężeniem pracuje nad wprowadzeniem do Owczarni Chrystusowej zbłąkanych owieczek schizmatyckiego *Wschodu*.

Część jałmużn Waszych, złożonych na **misye**, użyliśmy jako zasiłek dla domów naszych w **Palestynie**, a mianowicie na sieroty zakładu D z i e c i ą t k a J e z u s w **Betleem** i na zakład J e z u s a M ł o d z i e n i a s z k a w **Nazaret**. Jestem więcej niż przekonanym, że wiadomość ta będzie od Was bardzo mile przyjętą i że N a j ś w. P a n n a z **Nazaret** zapisze w księdze żywota nazwiska wszystkich tych, co świadczą dobrodziejstwo Jej ziomkom, — tej dziatwie i tej młodzieży, która Jej tak żywo przypomina Pana J e z u s a, kiedy był jeszcze w ich wieku.

Tu muszę atoli wyznać, że o wiele większe ofiary, bądź to w środkach pieniężnych, bądź w personalu, zażądały od

nas nasze stacye misyjne w **Ameryce**, gdzie wszelkiemi siłami trzeba było starać się zapobiedz, ażeby znaczna część współbraci naszych nie uległa trudom i żebyśmy w jednej chwili nie byli pozbawieni plonu, uzyskanego w długoletniej apostolskiej pracy. Misyonarze nasi, którzy w początku listopada odpłynęli byli z **Genui**, zaledwie wystarczyli na wypełnienie luk w szeregu misyonarzy salezyańskich, przerzedzonych śmiercią tylu współbraci; co do mnie — serdeczny czułem żal, że zabrakło mi środków, aby każdą stacyę misyjną z osobna zaopatrzyć w personal, odpowiadający jej naglącym potrzebom.

Wspominając na tem miejscu o zasiłkach pieniężnych — nie myślę powtarzać Wam, com już raz napisał był przed kilkoma tygodniami w osobnym okólniku: poprzestanę tylko na przypomnieniu Wam, drodzy moi **Pomocnicy** i gorliwe **Pomocnice**, że zbawienie wieczne, a nawet sam byt doczesny wielu, bardzo wielu pogan, złożony jest w Wasze ręce i zależy najzupełniej od Waszej ofiarności na rzecz misyi naszych.

Dzieła i przedsięwzięcia nasze w bieżącym roku 1898.

Nader liczne są dzieła i przedsięwzięcia różnego rodzaju, do których wypada nam przyłożyć rękę w dopieroco rozpoczętym roku. Przedewszystkiem ponawiam na tem miejscu prośbę, ażebyście mi przyjść raczyli w pomoc, celem uwolnienia nas od licznych zaległości, zaciągniętych na pokrycie wydatków na wyprawę naszych misyonarzy, na utrzymanie tylu *schronisk*, jak również na wsparcie dla naszych misyi.

Polecam Wam również, ażebyście z tą samą, co dotąd, gorliwością zbierali datki i ofiary na rzecz **Związku Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych dla ułatwienia dostąpienia stanu duchownego w dojrzalszym już wieku będącej młodzieży**; zamożniejsi zaś pomiędzy Wami niech naśladują przykład tych **Pomocników** — dobrodziejów, co złożyli całą kwotę (800 franków), wymaganą na pokrycie kosztów utrzymania przez cały czas pobierania nauk jednego takiego młodzieńca.

Ponieważ w bieżącym miesiącu (31go stycznia) upływa 10 lat, odkąd Wszechmocnemu Stwórcy podobało się powołać do chwały Swojej Ojca naszego, X. Jana Bosko, więc życzylibyśmy sobie mocno, ażeby rocznicę jego śmierci obchodzono w szczególniejszy sposób, a to zanosząc modlitwy przed tron Boga o spokój jego duszy, a gdzie to jest możliwem, zwołując zebranie **Pomocników**, na którem *dekuryon*, lub ktoś, umyślnie w tym celu zaproszony, miałby odczyt lub wykład o czcigodnym Założycielu naszego Zgromadzenia. Przy tej sposobności miło mi podzielić się z Wami radosną nowiną, iż *proces kanoniczny*, wdrożony przez miejscowego X. Arcybiskupa a tyczący się naszego Ojca, X. Bosko, prowadzony blisko siedm lat z wielkim nakładem i czasu i pracy przez trybunał duchowny turyński, już jest ukończony i że w miesiącu kwietniu ubiegłego roku wysłano do **Rzymu** liczne zeznania świadków. Módlmy się o pomyślny wynik tego procesu na większą chwałę Bożą i na cześć wiernego Jego sługi.

W końcu pozwólcie mi, przezacni nasi **Pomocnicy** i czcigodne **Pomocnice**, polecić sobie pilne czytywanie i rozszerzanie **„Wiadomości salezyańskich.“** Przekonany jestem, że w taki sposób rozwiniecie zwłaszcza pomiędzy swoimi znajomymi nader żywą i błogą w skutkach swoich działalność. Z największą naszą pociechą otrzymujemy nieledwie codziennie, to stąd, to zowąd, wiadomość, że po przeczytaniu naszego pisma, to ten, to ów, poczuł w sobie powołanie do stanu duchownego lub zakonnego; że w niejednem sercu, w którem nabożeństwo do N a j ś w. M a r y i P a n n y, najlepszej naszej Matki i Dobrodziejki, już było zamarło, właśnie przez czytanie o tylu łaskach, otrzymanych za Jej przemożnem wstawieniem, na nowo odżyło; że, dzięki jemu, niejeden dał się nakłonić do wspierania misyi; że niejednokrotnie przyprowadziło

do Owczarni Chrystusowej jaką owieczkę zbłąkaną.

Wartość naszego pisma i korzyść, jaką z niego można odnieść, znają dobrze liczni przyjaciele nasi, którzy teraz zwłaszcza, w czasie zimowym, w długich godzinach wieczornych, przeczytawszy sami odnośny numer „Wiadomości,“ miasto go odłożyć na bok, dają go także innym do czytania, przez co rośnie pożytek zbawienny, jaki z nich odnieść można.

Należałoby prócz tego przedsięwziąć kilka nowych *dzieł* najwyższej wagi: mianowicie trzebaby spiesznie wystawić świątynię Pańską we Florencyi, Spezii i w różnych innych miastach, aby zatamować zalew herezyi i bezbożności i zaradzić gwałtownej potrzebie wzrastającej ciągle ludności.

Należałoby również rozpocząć nowe misye, zwłaszcza w Ameryce północnej, gdzie tylu się znajduje naszych rodaków. Zanim się wszakże do nich zabierzemy, zaczekamy wpierw na zrządzenie i pomoc Opatrzności Boskiej.

Zakończenie.

Nie umiem lepiej zakończyć niniejszego listu, jak przywodząc Wam na pamięć kilka zdań, które 10 lat temu X. Bosko własnoręcznie skreślił w liście do przezacnych naszych Pomocników. Z otwartością przedziwną a zarazem szczerą wdzięcznością, jaką w nim podziwiali zawsze wszyscy ci, co mieli sposobność poznać go bliżej, wyliczył w piśmie tem wszystkie swoje *dzieła* i przedsięwzięcia, zwłaszcza na dobro biednej a zaniedbanej młodzieży, które z pomocą swoich dobrodziejów zdołał przeprowadzić. Po Panu Bogu, przypisywał im zasługę dobra, które był zdziałał, a nawet z pokorą bez granic, kryjąc się sam, ażeby tem bardziej uwidocznić swoich dobrodziejów, zakończył ustęp, o którym mówimy, następującemi słowy:

„Zakłady, jakie za Waszem poparciem powołałem do życia, bezemnie się już obejdą; nigdy jednakże się nie obejdą bez Was, ani tych wszystkich, co jak Wy, pragną krzewić dobro na tej ziemi. Wszystkim tedy Wam je powierzam i Waszej pieczy oddaję.“

Z pamiętnych tych słów, przezacni nasi Pomocnicy i czcigodne Pomocnice, możemy ten wniosek wyciągnąć, że jeżeli w naszem Zgromadzeniu my Salezyanie jesteśmy pracownikami, to Wy jesteście narzędziami, jakiemi Opatrzność Boska się posługuje, ażeby nas wspierać; że taksamo, jak ogień potrzebuje drzew, ażeby się palił, lampa zaś oleju, ażeby świeciła, podobnież *dziełom* salezyańskim *niezbędnem jest Wasze współpracowanie i ofiarność Wasza.*

Jeśliby Wam zaś miały zdawać się uciążliwemi ofiary, o jakie w imieniu moich sierot i misyonarzy salezyańskich od czasu do czasu pozwalam sobie Was prosić, przypomnijcie sobie słowa św. Pawła, który powiedział, że *pobożność ma sobie obiecane życie teraźniejsze i przyszłe* (promissionem habet vitae, quae nunc est et futurae).

Otoż to samo stanie się również z naszymi dobrymi uczynkami. Otrzymają dla nas w niebie nagrodę wieczną, a w ciągu tej pielgrzymki ziemskiej pokój i wesele, jakiego świat ze wszystkiemi swemi rozkoszami i zaszczytami dać nie może.

W modlitwach naszych, tak prywatnych, jak wspólnych, codziennie włączać i wymieniać będziemy Was i rodziny Wasze. Także Wy, przezacni nasi Pomocnicy i czcigodne Pomocnice, módlcie się za mną, który teraz i zawsze

pozostaję szczerze Wam oddanym

X. Michał RUA.

Turyn, dnia 1go stycznia 1898.

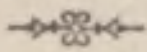




MISYE

X. Dominika MILANESIO

NA PAMPAS PATAGOŃSKICH.



1. Podróż, wynosząca około 5,000 kilometrów. — Żyzność stepów patagońskich. — Dobre serce i żywa wiara Indyanki. — Przyjęcie u Tehuelches. — Obiad u *kacyka*. — Charakter Indyan Tehuelches.

Victoria de Chile,
14go listopada 1896.

W ostatnich czasach odwiedziłem większą część rodzin indyjskich, należących do plemienia Araukanów, Pampas i Tehuelches. Dwa ostatnie te plemiona zamieszkują część Patagonii. Podczas całej apostolskiej mej wycieczki opowiadałem Słowo Boże, nakłaniałem niewiernych do przyjęcia wiary katolickiej, neofitów zaś zachęcałem do chrześcijańskiego życia, zaniechania rabunków i kradzieży, oraz uczciwego zarobku na swe utrzymanie podług Boskiego przepisu, to jest pracy w pocie czoła.

W przeciągu ostatnich dwóch lat zdołałem przebiedz cały Wikaryat Apostolski, powierzony duchownej pieczy X. Biskupa Cagliero. Jeżeli zaś dodam jeszcze trzy podróże, odbyte przedtem do Chili, to się okaże, że w przeciągu owego czasu przebiegłem przestrzeń, mającą przeszło 1,000 mil tutejszych, czyli około 5,000 kilometrów.

Głównym celem mej podróży było zbadanie obszaru Pampas, rozciągającego się od brzegów *oceanu Atlantyckiego* aż do *Andów*, po przez piaszczyste puszcze, po górach i dolinach, wśród których liczne rodziny krajowców obrały sobie siedlisko. Klimat jest tam gorący, a grunt zupełnie suchy, gdyż deszcze padają nader rzadko, a natomiast silny wiatr niemal ciągle powiewa. Pomimo tego jednak napotykają się tu i owdzie bujne zarośla, lub piękne pastwiska, niektóre zaś kawałki gruntu nadają się nawet do uprawy. Z czasem, mam nadzieję, wzniosą się tam miasta i wioski, dzisiaj już bowiem nad brzegami rzeki *Chubut* istnieją trzy wsie, których mieszkańcy cieszą się pewnym dobrobytem. Zamożność swą zawdzięczają oni przeważnie licznym irygacyjnym (= nawodniającym) kanałom, wykonanym tam, gdzie przed trzydziestu laty niespełna, rozpościerały się posępne, jałowe obszary.

Podczas tak długiej wycieczki apostolskiej miałem niejednokrotnie sposobność przekonać się o wrodzonej dobroci serca mieszkańców Pampas, a zwłaszcza o ich życzliwem usposobieniu względem misyonarza i szczerej chęci korzystania z jego nauk.

Pewnego razu podróżując z moim towarzyszem w samym środku Pampas, dotarłem, śmiertelnie znużony, do indyjskiej *tolderia*, czyli osady, złożonej z kilku zaledwie chałup. Zaledwieśmy się zbliżyli, powitało nas mnóstwo psów donośnem szczekaniem, Indyanie zaś wybiegli ze swych *toldos*, czyli lepianek, na nasze spotkanie, aby się przekonać, kim jesteśmy. Powitałem ich uprzejmie w ojczystym ich języku i wówczas dopiero kilku krajowców mię poznało, okazując zarazem serdeczną radość z mojego przybycia. Kilkunastu z nich w latach ubiegłych otrzymało już chrzest święty, lecz od tego czasu biedni ci ludzie byli pozbawieni wszelkiej religijnej pociechy.

Kiedyśmy jeszcze zamieniali ze sobą słowa przyjaznego powitania, pewna kobieta, oddzieliwszy się od gromadki, jaka koło mnie się otworzyła, pobiegła pędem strzały do swojego *toldo*, czyli chaty. Poczciwej Indyance przyszła widocznie szlachetna myśl zabezpieczenia nas jak najrychlej od przenikliwego wichru i słoty, wróciła bowiem wkrótce z kilkoma drągami i skórami rozmaitych zwierząt. Następnie, wezwawszy do pomocy jedną z towarzyszek, w przeciągu kilku minut rozbiła namiot, który chociaż nędzny i niezbyt wygodny, wydał nam się jednak prawdziwym pałacem i podczas całego pobytu w tej *tolderia* służył nam za schronienie.

Nadto wspaniałomyślna Indyanka podjęła się dostarczać nam pożywienia przez cały przeciąg trwania misyi; ilekroć zaś chłód dawał się uczuwać, pozwalała nam ogrzać się u swego ogniska. Z wielkiem zadowoleniem i szlachetną dumą powtarzała wszystko, co wiedziała o Bogu, duszy i wieczności, a zarazem z natężoną uwagą słuchała moich objaśnień.

Nie poprzestając na tem, iż dała mi poznać, ile sobie z nauki prawdziwej Wiary i dobrych obyczajów zapamiętała, posługiwała się nabytą wiedzą, aby ją rozpowszechnić pomiędzy swymi współplemiennikami. Wymową swoją zdołała nieraz nawet najbardziej upartych

namówić, ażeby przyszli na katechizm, kiedy zaś jej się to nie udawało, przybiegała biedaczka do mnie zasmucona i błagała mnie ze łzami w oczach, abym się udał do tej, lub owej chaty, mówiąc, iż moje słowo z pewnością upornych nawróci, gdyż jest *Słowem Bożem*. A wtedy uprzedzała mnie zazwyczaj, torując mi drogę i ułatwiając zadanie, napominając zwłaszcza takich, co mieli żony, ażeby zawarli związek małżeński, jak tego żąda św. Kościół katolicki.

Niech Wszechmogący Bóg błogosławi tę poczciwą Indyankę i niech wzbudzi więcej jeszcze podobnych jej apostołek — wśród dzikich i cywilizowanych — naśladowczyń jej miłości bliźniego, jej żywej wiary i żarliwości o zbawienie bliźnich!

W pewną niedzielę Wielkiego postu znaleźliśmy się w osadzie, należącej do plemienia Tehuelches, nad rzeką *Mayo* i brzegami prześlicznego jeziora. Podług wskazówek, jakich później zasięgnąć zdołałem, w całem tem nader licznem plemieniu jedna już tylko pozostała chrześcijanka. Dowiedziawszy się o mojem przybyciu, poczciwa kobieta udała się natychmiast do *kacyka*, radząc mu przyjąć misyonarza z jak największą okazałością. Wszyscy więc przywdziali strój odświętny, wywiesili chorągiew na *toldo* kacyka i ustawili się we wzorowym porządku na miejscu, przez które miałem przechodzić. Zaledwie się do nich zbliżyłem, Indyanie chóralnym powitali mię śpiewem, poczem owa jedyna chrześcijanka, imieniem AMUYCAR, ochrzczona przed dziesięciu laty, podeszła ku mnie i podała mi rękę. Naturalnie uścisnąłem podaną sobie dłoń, krajowcy zaś widocznie tem ośmieleni, począwszy od *kacyka* aż do kilkunastoletnich chłopaków poszli za przykładem staruszki, w takiż sam kolejno witając mię sposób. Następnie, aby mi dać dowód swej wytrwałości w prawdziwej wierze chrześcijańskiej, wzięła AMUYCAR do ręki krucyfiks, zwykle na piersiach przezemnie noszony i ucałowawszy go pobożnie, zawołała donośnym głosem:

„*Znam tego człowieka! jest to Syn Boży, który umarł za nas na krzyżu, aby nas ocalić od kar piekielnych.*“ Potem, w obecności wszystkich, takim samym uroczystym tonem powtórzyła wzniosłe prawdy świętej naszej religii o jedności Boga w trzech osobach, ostatecznym celu człowieka, nieśmiertelności duszy, raju i piekle. Od czasu, jakby na potwierdzenie tego, co mówiła, robiła wielki znak krzyża świętego, wszyscy zaś obecni słuchali jej z natężoną uwagą.

Następnie kacyk kazał rozbić dla nas namiot w pobliżu własnego *toldo* i zaprosił mię do siebie na obiad. Stół stanowił ogromny nieociosany kloc drzewa, duże zaś kamienie zastępowały nam krzesła. Również oryginalnem, jak umeblowanie chaty, były i zastawione nam potrawy, a zwłaszcza pieczyste ze strusia. Naturalnie palce musiały nam służyć za widelec.

Jedyny sprzęt, jaki leżał na stole, był nóż, cokolwiek zardzewiały, ale mimo to oddający wcale niezłe usługi przy tej sposobności.

Nie potrzebuję dodawać, że skorzystałem ze zaprosin, ażeby *kacykowi* mówić o Panu Bogu i o duszy i omówić z nim plan misyi wśród jego plemienia.

Około północy owego pierwszego dnia naszego pobytu wśród plemienia Tehuelches, dziwaczna muzyka, połączona ze szczekaniem psów obudziła nas niespodzianie ze snu. Jakaż mogła być przyczyna tej wrzawy? Oto *kacykowi* urodziło się pierworodne dziecię, a mianowicie syn, który miał kiedyś zostać jego następcą i stanąć na czele całego plemienia. Nie dziw więc, że krajowcy, zebrani dokoła *toldo* ogólnie lubionego wodza, w nader hałaśliwy sposób objawiali swą radość. Śpiewali między innemi:

„Szczęśliwy ojciec, szczęśliwa matka takiego syna!
Niech wielki duch ma go w swojej opiece!
Gualicho niech doń nigdy nie ma przystępu!
Niech rośnie zdrów i silny!
Niech się hartuje na łowach i w potyczkach!
Niech będzie mężnym, ażeby kiedyś mógł bronić swego szczepu i ochraniać go od napaści naszych nieprzyjaciół!

Indyanie z plemienia Tehuelches nie odznaczają się bynajmniej tak wojowniczem usposobieniem, jak Araukanie: na wieść o wojnie ratują się ucieczką. Doprowadzeni jednakże do ostateczności umieją się dzielnie bronić i walczą nieustraszeni.

Charakter ich jest bardzo szlachetny, najpiękniejszą zaś jego cechę stanowi widoczna skłonność do miłosiernych uczynków. Indyanie ci wiodą życie koczownicze, polując na *guanaki* (= sarny patagońskie) i *strusie*, gdyż skóra pierwszych służy im do pokrywania namiotów, mięso zaś, tak jednych, jak i drugich, dostarcza im pożywienia; krajowcy umieją wyrabiać tkaniny na swoją odzież. Podobnie, jak u innych plemion, tak też i wśród plemienia Tehuelches mężczyźni bywają częstokroć skłonni do pijaństwa, ale natomiast kobiety są przeważnie skromne, oszczędne i pracowite. Przed wcieleniem terytoryum tego plemienia do posiadłości rzeczypospolitej argentyńskiej istniała u Tehuelches kara śmierci dla kobiet, oskarżonych o niewierność względem swych mężów.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TRZY MIESIĄCE MISYI
w prowincyi Uribe
na
Llanos de San Martin

San Martin, 10go czerwca 1897.

PRZEWIELEBNY OJCZE,

Cieszy mnie nadzwyczaj, że znowu mogę nadesłać najdroższemu Ojcu pocieszające wieści o szczęśliwem ukończeniu drugiej mojej misyi, odbytej w ostatnich trzech miesiącach w prowincyi Uribe. Roku zeszłego (jak to już Przewielebnemu Ojcu wiadomo z mego listu z dnia 30go stycznia b. r.) z przyczyny zgniłej febry, której po kilka razy ulegałem, musiałem pracę swoją ograniczyć na najważniejszych miasteczkach i osadach rozległej tej prowincyi; tego roku wszakże, dzięki Bogu, udało mi się dokonać coś więcej, na większą chwałę Bożą i na dobro zbawienne dusz ludzkich.

I. Nasza nowa stacya misyjna w Villavicencio. — Objazd wszystkich *faktoryi*. — Santander. — Puerto Crevaux. — *Danta*. — La Mariana. — *Caucho*. — Ilusion.

Gdy już w naszym domu w Santa Fe de Bogotá ukończyły się ćwiczenia duchowne, puściłem się zaraz w drogę ku wyznaczonej sobie *misyi* i zatrzymawszy się tylko krótko w Villavicencio, gdzie niedawno założyliśmy nową stacyę misyjną, osadziwszy tamże jednego kapłana (X. Tomasza TALLONE) i dwóch kleryków, jak również w San Martin, — nie wstępując już zgoła do San Juan de Arama, ani do Guéjar, — przybyłem dnia 1go marca b. r. z wiernym JOSÉ, jedynym moim towarzyszem podróży, do zapadłego i odludnego Uribe.

Poczciwe ludziska przyjęli mnie tak samo, jak przeszłego roku, z żywemi oznakami uszanowania i wdzięczności. Władze miejscowe, nauczyciel i nauczycielka na czele swoich wychowanków i wychowannic, tudzież wiele osób z obywatelstwa, czekało przy wstępie do miasteczka, by mię przywitać. Wszyscy nie posiadali się z radości, widząc mnie znowu w swem gronie i na wyścigi starali się okazać mi i czynem i słowem, jak wielce się z tego powodu czuli szczęśliwymi. Co za dobre serce u tych mieszkańców i jak są wybornie usposobieni do przyjęcia siejby ewangelicznej! Gdyby tam osiadł na stałe jaki kapłan, to w przeciągu kilku lat cała ta osada stałaby się w najwyższym stopniu religijną.

Ja jednakże nie mogłem, niestety, poświęcić dla nich wszystkiego mego czasu i pracy, gdyż postanowiłem był zwiedzić główniejsze *faktorye*, jakie Spółka *Herrera y Uribe* utrzymuje w tej prowincyi. Tym końcem, przyjąwszy zaprosiny p. Wawrzyńca PLAZAS, naczelnego dozorcy (czyli t. z. *superintendenta*) faktoryi Santander, udałem się tam, by prawić kazania misyjne zajętym u niego robotnikom. *Faktorya* ta jest oddalona o dobre sześć mil od Uribe i czasami zatrudnia stu i więcej robotników, nie licząc kobiet i dzieci. Uprawa drzewa *kakaowego*, *trzciny cukrowej*, *bananów* i t. d. jest głównem zadaniem tych ludzi, jednakże nie zaniedbują i pasterstwa.

Z wielką pociechą poczciwych osadników zatrzymałem się u nich dwa dni, by im dać sposobność wysłuchania Mszy św. i żeby mogli być obecnymi na innych obrzędach religijnych.

O cztery godziny drogi od Santander, w kierunku od półn. — zachodu na południe — wschód płynie dość duża rzeka *Guayavero*, nad której brzegami rozłożyło się Puerto Crevaux, nazwane tak na pamiątkę słynnego podróżnika francuskiego i badacza, J. CREVAUX, co pierwszy, wsiadłszy na statek, popłynął z biegiem tej rzeki, której w swoich pismach nadał był pierwotnie miano Lesseps Rzeka ta, przybrawszy *Duda*, *Guejar* i *Ariari*, tworzy *Guaviare*, wielki dopływ Amazonki.

Tymczasem dowiedziawszy się, że w Puerto Crevaux, zdala od siedzib ludzkich, żyła pewna rodzina, złożona z czterech członków: męża, żony i dwojga dzieci, udałem się tam, by ją odwiedzić. Tam miałem sposobność widzieć po raz pierwszy małą *danta* lub *anta*, jak ją tu zwykle zowią. Jestto zwierzę czworonożne, z rzędu gruboskórnych, wielkości młodego muła, barwy ciemnej z białemi pręgami. Nie ma prawie ogona, a nos wydłuża mu się w trąbę. Powiadają, że jego mięso jest wyśmienite, nie miałem jednakże aż dotąd sposobności go skosztować.

Wróciwszy do Santander, udałem się do La Mariana, może znaczniejszej jeszcze *faktoryi* od poprzedniej, uprzejmie tam zaproszony od pp. FRICOUT i FABRINI, tejże *faktoryi* dozorców. Odprawiłem Mszę świętą w obecności przeszło stu robotników, w chacie, na wszystkie strony otwartej i na

tę uroczystość liśćmi palmowemi, kwieciem i różnymi owocami leśnymi, pięknie przyozdobionej.

Tutaj, prócz drzewa kakaowego, trzciny cukrowej i kukurydzy, uprawia się również tak zwane *caucho*. Jestto roślina, z której za pomocą nacięcia otrzymuje się pewien rodzaj żywicy lub gumy mlecznej, która z powodu, że łatwo twardnie, bardzo jest na rynkach europejskich poszukiwaną. W La Mariana jest tego blisko 50,000 roślin.

We *faktoryi*, zwanej La Ilusion, która wygląda raczej na wioskę, zatrzymałem się trzy dni. Osada ta leży na prawym brzegu dolnego biegu rzeki *Duda*, o 35 km. od Uribe. Są tam bardzo rozległe pastwiska i co rok hoduje się około 80,000 roślin, krzewów i drzew rozmaitego rodzaju: *kakao, trzciny cukrowej, kukurydzy* i *tytoniu*.

W miejscu, przyzwoicie przygotowanem, odprawiłem dwa razy Mszę św., wygłosiłem kazanie i udzieliłem Chrztu św. 15 dzieciom. Byłem zawsze bardzo uprzejmie traktowany ze strony p. Juan MANUEL'a, siostrzeńca X. Arcybiskupa z Bogotá.

2. Wielki Tydzień w Uribe. — Pożytek z nauki religijnej. — Powrót do San Martin.

Odbywszy objazd *faktoryi*, jak powyżej, powróciłem znowu do Uribe, by tam uroczyście odprawić obrzędy Wielkiego Tygodnia, który z każdym dniem się zbliżał. W Uribe nigdy jeszcze podobnych obrzędów nie było, nie dziw więc, że brakło rzeczy, do odbycia ceremonii niezbędnych. Cóż w takim razie począć? Nie tracąc otuchy, w niedzielę *białą* (*dominica Passionis*) oznajmuję mój zamiar licznie zgromadzonemu ludowi, oznaczam rzeczy, stanowczo mi potrzebne dla odprawienia obrzędów, odwołując się zarazem do serca wiernych, by zechcieli przyjść mi z pomocą, w jaki tylko będą mogli sposób.

Natychmiast całe Uribe, bez różnicy osób, stawia się na wezwanie; wszyscy na wyścigi ofiarują datki pieniężne i osobistą pomoc z takim zapałem, iż jeszcze w tymsamym tygodniu miałem wszystko, co mi było potrzeba. Ten szlachetny zapał mieszkańców sprawił, że mi była nierównie mniej uciążliwą praca w Wielkim Tygodniu.

Wszystko odbyło się podług ceremoniału, a jakkolwiek musiałem być zarazem celebransem, organistą, ministrantem, a bywało i zakrystyanem, udało się wszystko znakomicie, ku zbawiennemu pożytkowi poczciwej ludności. Każdego dnia nader licznie przystępowano do Komunii św.; a we Wielki Czwartek, z najwyższą moją pociechą, udzieliłem Komunii św. 26, po raz pierwszy do Niej przystępującym osobom. Ze wszystkich pobliskich osad, a nawet z miejsc, oddalonych o 3 dni drogi, schodzili się wierni, by wziąć udział w tych obrzędach, tak że miasteczko w owym czasie liczyło z jakie 2,000 osób więcej.

Nie zaszedł tu żaden nieporządek, jakkolwiek przedtem pijatyki, bójki i zgorszenia wszelkiego rodzaju bywały na porządku dziennym. To również jest owocem nauki religijnej, udzielonej tej w gruncie poczciwej ludności, która potrzebuje tylko słyszeć nieco częściej słowo Boże, by żyć szczerze po chrześcijańsku.

W tym czasie trzystu z górą przystąpiło do Komunii św., prócz 26, co komunikowali się po raz pierwszy; do pięciu chorych zaniosłem uroczyście Wijatyk, a jedenastom udzieliłem św. Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Wreszcie pobłogosławiłem cztery małżeństwa i ochrzciłem 69 dzieci.

Zaledwie przepędziliśmy Święta Wielkanocne, puściłem się razem z JOSÉ z powrotem do San Martin, ponieważ rozpoczynała się już pora deszczowa i później zastałbym niezawodnie drogi nie do przebycia. W czasie tego powrotu zdarzyło mi się nieskończenie wiele przygód; wiele razy o małom się nie zabłąkał w krętaninach nieprzebytych lasów, kilka razy niewiele brakowało, a byłbym był porwanym gwałtownym prądem rzek, które musieliśmy przebywać wpław, lecz Opieka Najśw. Wspomożycielki Wiernych nigdy nas nie opuściła.

Zatrzymaliśmy się w kilku miejscowościach, jako to: w Las Pailas, w La Concepcion, La Guadualeja, w Guéjar i w San Juan de Arama, a wszędzie miałem sposobność zdziałać niemało dobrego.

I tak 26^{go} maja stanąłem szczęśliwie w San Martin, gdzie jeszcze przebywam.

Tymczasem, Przewielebny Ojcze, polecając Ci z całej duszy to obszerne pole misyjne, które z tęsknotą oczekuje pracowników, chcących i mogących je uprawiać, proszę Cię zarazem, byś raczył pobłogosławić wszystkich swoich synów w tych dalekich krainach, a w szczególności tego, który za wielkie sobie poczytuje szczęście, iż może pisać się Twym

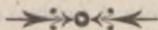
przywiązanym w Chrystusie Panu synem

X. Ernest Briata.



PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO, założonego przez X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



(Ciąg dalszy).

Dziełko to przypisał X. Bosko O. Prowincyałowi *Braci szkół chrześcijańskich* w Turynie, w dedykacyi zaś wyraził się między innemi: „*Wiem dobrze, iż temu* (=dedykacyi) *sprzeciwiać się będzie Przewielebnego Ojca skromność i pokora. Ponieważ jednak niniejsza książeczka wyłącznie stawiła sobie za cel większą chwałę Bożą i korzyść duchowną młodzieży, nad którą Przewielebność Wasza tak niezmordowanie pracuje, tuszę zatem, że już z tego względu odjęty Mu będzie wszelki powód do odmówienia przyjęcia.*“

Dwa te dziełka księdza Bosko uznano powszechnie za nader odpowiednie dla użytku młodzieży, bądź dla trafnego wyboru materyi, jaki w nich poczynił, bądź dla łatwego, przystępnego stylu, w jakim są ułożone, bądź wreszcie dla poprawnego pod każdym względem sposobu wyrażenia się, którego się trzymał, — zaczem poszło, że znalazły w szerokich kołach bardzo miłe przyjęcie i że je rozpowszechniono po szkołach z niezmiernym pożytkiem młodzieży, której dobro i korzyść duchowna była zawsze pierwszą myślą i pierwszem staraniem świątobliwego męża.

Widząc zaś, jak założone przez siebie szkółki z każdym niemal dniem rozwijały się coraz pomyślniej, dołączył X. Bosko niezadługo do już istniejących oddziałów jeszcze klasę rysunków i arytmetyki; w tej ostatniej uczono między innemi także *systemu decymalnego*, który niezadługo miał być w ówczesnem królestwie Sardynii zaprowadzony. Dla ułatwienia wszakże jego nauki potrzeba było podręcznika, którego natenczas napróżnoby się szukało po półkach księgarskich. Niestrudzony nauczyciel nie dał się zrazić tym brakiem, lecz zabrawszy się raźno do dzieła, zaradził wnet potrzebie, ułożywszy książeczkę, której dał za tytuł: *Il sistema metrico decimale ridotto a semplicità* (= system metryczny decymalny uproszczony), które to dziełko z przyczyny jasnej i przystępnej formy wielkie w swoim czasie czcigodnemu Autorowi zjednało pochwały.

Kończę niniejszy rozdział oświadczeniem, jakie miłość prawdy każe mi na tem miejscu



X. JAN BOSKO.

wygłosić, a mianowicie, że X. Bosko był pierwszym, który założył *szkółki niedzielne* i *wieczorne*, rozpowszechnione dzisiaj po całych Włoszech z niezmiernym pożytkiem dla mniej zamożnych jednostek i rodzin, a z niemniejszym zaszczytem dla całego narodu.

Oddajmy cześć, komu przynależy!

(Ciąg dalszy nastąpi).



(*Ciąg dalszy*).

Mając opisać obrzędy i uroczystości Patagończyków na cześć zwłaszcza *dobrego ducha* (jak go nazywają), sądzę, że najlepiej postąpię, podając na tem miejscu opis takiego święta indyjskiego, odbytego na **Pampas** argentyńskich, jakiego był naocznym świadkiem i które w *Bollettino salesiano* (zesz. 7, str. 174-180) był opisał X. Biskup Jan Cagliero, wikaryusz apostolski **Patagonii**.

Indyanie z *Pampas* argentyńskich, Tehuelches z **Patagonii** i Araukanie z **Chili** wierzą w *ducha dobrego* (*Atugutzual*), rozdającego hojnie ludziom łaski i dobrodziejstwa, jakich potrzebują, jak również w istnienie ducha złego (*gualicho*), sprawcy wszelkiego złego, wszystkich chorób i śmierci.

Obydwom tym duchom Indyanie oddają cześć. Kult *dobrego ducha* jest publiczny i zowie się *camarujo* *), kult *złego ducha* jest prywatny.

Nie troszcząc się zbytecznie o *ducha dobrego*, którego co najwyżej wzywają w czasie wojny lub posuchy, starają się przedewszystkiem zjednać sobie *ducha złego*, którego nadzwyczaj się obawiają.

Odkąd misyonarze salezyańscy weszli do **Patagonii**, a OO. Franciszkanie do **Araukanii**, od kiedy wogóle Indyanie zetknęli się z chrześcijanami, wyrobili sobie jakie takie pojęcie o Bogu, którego (tak jak Hiszpanie) zowią *Dios* i wiedzą, że *gualicho* (szatan) jest nieprzyjacielem Boga i ludzi. Ponieważ zaś nie mają ani kapłanów, ani świątyń, ani nawet bałwanów, zatem podczas uroczystości *camarujo*, przewodniczy zwykle *kacyk* najbardziej wpływowy, jednakże niepomierną rolę gra w niej zwyczajna czarownica, którą nazywają *machi* albo *perimontán*.

1. Cześć, oddawana „dobremu duchowi."

Jedynym aktem religijnym, publicznym i uroczystym, jaki posiadają Indyanie patagońscy, jest *camarujo*, czyli zbiór ceremonii, w których się składa dzięki *duchowi dobremu* za otrzymane od niego dobrodziejstwa i prosi go się o nowe. W tym celu zbierają się razem wszystkie rodziny z całego plemienia, a nawet niekiedy przyłączają się do nich członkowie innych plemion. Nie mając ani kościoła, ani żadnego osobnego miejsca na swoje zebrania, obierają oni sobie na kilka dni łąkę, lub jaką *oazę* na pustyni, w pobliżu rzeki lub jeziora, ocienioną wierzbami, i tam wykonywują zabobonne swe praktyki.

Camarujo trwa zwykle przez dni kilka, w przeciągu których rozlegają się bez przerwy śpiewy i dzikie okrzyki, towarzyszące libacyom z wody i pokrapianiu krwią cielęcia, które *kacyk* na ten cel zabija. Potem następują szalone tańce. Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta tworzą cztery odrębne koła i tańczą oddzielnie, każdy w swojem kółku. Po tańcach odbywa się uczta i pijatyka, która trwa tak długo, dopóki mogą trzymać się na nogach. Pochłonięte pokarmy i napoje alkoholiczne, użyte bez miary, usypiają ich nieraz na dwa dni i więcej, a z jakim to wszystko dzieje się uszczerbkiem dla moralności, to każdy może łatwo sobie wystawić.

2. Cześć, oddawana „złemu duchowi." — Czarownica.

Kult, składany przez Indyan *złemu duchowi*, zwanemu *gualicho*, jest daleko skromniejszym i mniej uroczystym, a odbywa się w sposób zupełnie prywatny. Rodziny, mające chorego członka, lub też sąsiedzi, jeżeli wybuchnie choroba jaka zaraźliwa, jak np. ospa, tyfus i t. p., wzywają niezwłocznie swoją *machi*, czyli znachorkę, zwaną także *perimontán*, to jest wróżkę, która za pomocą różnych zaklęć i dziwacznych zażegnań stara się chorobę oddalić.

Dla odstraszenia *gualicha*, każe czarownica zazwyczaj ustawić przed chatą (*toldo*) chorego dwie włócznie, ażeby tam nie mógł wejść. Jeżeli zaś choroba jest niebezpieczną i każe przypuszczać, że *gualicho* już wszedł do chorego, natenczas przechadza się dokoła chaty, trzymając w ręku zapaloną głownię, którą wywija z góry na dół, z prawej ku lewej stronie, wydając przy tem przeraźliwe okrzyki. Jednocześnie dwaj silni młodzieńcy wywijają w powietrzu włóczniami. Jeżeli chory wyzdrowieje, jest to zdaniem krajowców niewątpliwym dowodem, że *gualicho* musiał się wynieść i wyrzec swojej ofiary. W przeciwnym razie, skoro nastąpi śmierć, złośliwy *gualicho* uchodzi za zwycięzcę i wszyscy krewni zmarłego opuszczają natychmiast nieszczęśliwe miejsce, w którem panuje szatan, podpaliwszy poprzednio dom nieboszczyka. Często się też zdarza, że i sama znachorka przypłaci śmiercią swe niepowodzenie. Jeżeli bowiem kto w nich wmówi, że jest opętaną od *gualicha* i że chorzy umierają z jej przyczyny, wtedy puszczają się za nią w pogoń i w okrutny sposób ją zabijają.

Zwiedzałem raz więzienie publiczne we Viedma, stolicy północnej Patagonii i głównej mej rezydencyi biskupiej. Między innymi znalazłem tam pięciu Indyan, okutych w kajdany i skazanych na śmierć za to, że w równie barbarzyński, jak okrutny sposób zamordowali *machi* (czarownicę), ponieważ byli przekonani, że w niej przebywa *gualicho*, chcąc go zaś z niej wypędzić, pastwili się nad nią nawet wtedy, kiedy już była trupem, tak długo, aż ją zamienili w bezkształtną masę.

Niejednokrotnie jadąc konno przez pustynię,

*) Wymawia się *kamarucho*.

spostrzegałem zawieszone na najwyższych gałęziach drzewa, wznoszącego się ponad resztę krzaków, kawałki odzieży, szmaty, skóry i t. p.

Są to ofiary, składane przez Indyan groźnemu *gualichowi*. Drzewo, na którem wiszą takie wota, uważają krajowcy za święte i posiadające szczególną własność uśmierzania gniewu i zjednywania względów złego ducha.

Po śmierci ojca rodziny zwłoki jego przed pogrzebem zostają razem z włócznią i *las bolcadoras* (czyli arkanem), zawinięte w kawał skóry. Jeżeli zmarły był kacykiem, czyli *capitancjo*, w takim razie grzebią z nim razem ulubionego jego konia, aby w długiej wędrówce do wieczności nie zabrakło mu niczego, co jest niezbędnem do polowania, rybołóstwa lub walki z nieprzyjacielem. Opłakiwanie zmarłego trwa przez cały tydzień. Codziennie rano o wschodzie słońca i wieczorem o zachodzie, kobiety zwróciwszy się twarzą ku wschodowi zaczynają płakać, jęczeć i narzekać. Wtedy pusty step rozbrzmiewa daleko odgłosem smętnych pieni.

Żałobnym takim pieśniom miałem sposobność przysłuchiwać się wraz z księdzem Milanesio, X. Panaro i kl. Zanchetta, gdyśmy się znajdowali w stacyi naszej misyjnej w Chichinal, oddalonej o jakie 100 mil od Viedma. Umarł był wtedy naczelnik licznej grupy krajowców, należącej do rodziny kacyka Sayuhueque. Pamiętam, jak smętne te śpiewy, rozchodzące się daleko wśród ciszy pustyni, budziły we mnie uczucia, jakich nigdy nie doznałem w **Europie**, słuchając pięknych i artystycznie wykonanych utworów naszych mistrzów. Codziennie, przez ośm dni z rzędu, wychodziłem sam jeden z chaty, przysłuchując się tęsknym pieniom, jakie dalekie przynosiło mi echo.

3. *Camarujo*, któremu przeszkodzono w szczepie Yancuche i *camarujo*. rozwiązane w szczepie kacyka Sayuhueque.

W misyi Chichinal przekonaliśmy się po raz pierwszy, co jest *camarujo*. Od kilku już miesięcy udzielaliśmy nauki katechizmu plemieniu kacyka Yancuche, jak również szczepowi kacyka Sayuhueque. Ochrzciliśmy już i udzielili Sakramentu Bierzmowania wszystkim prawie dzieciom, starsi chłopcy i dziewczęta otrzymały również już chrzest św., kobiety zaś oczekiwały powrotu swych mężów, którzy wyruszyli w głąb *pampas*, aby polować na strusie i guanaki.

Wkrótce wrócili rzeczywiście z końmi, obładowanymi skórami, piórami i mięsem, wysuszonem na słońcu, następnie zaś zanurzonem w słonej wodzie, w której Indyanie trzymają zwykle przez kilka godzin ubitą zwierzynę, ażeby ją tem pewniej uchronić od zepsucia.

Pragnąc okazać swą radość z powrotu myśliwych (*boleadores*), plemiona Yancuche i Sayuhueque postanowiły podziękować uroczyście *Wielkiemu Duchowi* za to, że im pozwolił wrócić szczęśliwie do rodzinnego kółka i że tak pomyślne zesłał łowy. Wówczas właśnie całe plemię Yancuche, ze swym kacykiem Miguelem Yancuche na czele, nawróciło się i przyjęło Chrzest święty. Neofici więc nie chcieli przedsiębrać nic zgoła bez mego pozwolenia i dlatego też zwrócili się do mnie z zapytaniem, czy wolno im będzie wziąć udział w obchodzie *camarujo*. Sądząc, iż to być musi jakiś zabobonny lub może nawet bałwochwalczy obrzęd, odradzaliśmy im to stanowczo, zachęcając natomiast do uczestnictwa w dziękczynnem nabożeństwie, jakie zamierzałem odprawić na cześć jedynego prawdziwego Boga, Dawcy wszelkiego dobra. Słowa nasze nie padły na opokę, wszyscy bowiem Yancuchowie przybyli na nabożeństwo i z nami złożyli Bogu hołdy swej wdzięczności. Atoli kacyk Sayuhueque nie poszedł za tym przykładem, lecz obawiając się odmowy lub nawet stanowczego zakazu z naszej strony, poczynił przygotowania do uroczystego obchodu *camarujo*, na który zaprosił przeszło 500 Indyan.

Było to w grudniu, który na południowej naszej półkuli bywa zwykle tak ciepłym, jak czerwiec we Włoszech. Raz w niedzielę po południu oczekiwaliśmy przybycia dziatwy na naukę katechizmu. Zwykle przychodziło na nią 30, 40, 80, 100 lub nawet niekiedy 200 chłopców i dziewcząt, tym razem wszakże nikt się nie pojawił. Wychodzimy więc z mieszkania, aby rzucić okiem na niezmierzony widnokrąg i cóż widzimy w głębi doliny? Oto ogromny tuman kurzu, osłaniający, niby powiewna mgła, liczne grono Indyan, którzy się snują we wszystkich kierunkach. Dzięki promieniom słońca, przedzierającym się przez tę kurzawę, dostrzegamy migotanie włóczni, ruch koni, jeźdźców i pieszych. Nie wiemy wszakże, co znaczy tak liczne zebranie. Ujrzawszy więc trzy dziewczęta, które zwykle uczęszczały najpilniej na lekcye katechizmu, teraz zaś jechały również w tamtym kierunku, prosimy je, aby zsiadły z koni i wytłómaczyły nam cel i znaczenie tak niezwykłego zbiegowiska. „To *camarujo*,“ odpowiadają zagadnięte.

Wysłałem przeto niezwłocznie jednego ze swych służących do kacyka Sayuhuequa, prosząc go, aby przybył natychmiast do rezydencyi misyonarzy, gdzie Biskup nań czeka. Kacyk usłuchał mego wezwania i nadjechał z dwoma synami, tyluż tłumaczami i honorową eskortą. Zapytałem go poważnie i surowo, jak mógł wezwać tyle ludu i zorganizować obchód jakiejś uroczystości, nie zaprosiwszy na nią przyjaciela swego, Biskupa. „*Nasuwa to domysł*, dodałem, *że cel waszego zebrania niebardzo musi być chwalebnym*.“ Potem dałem mu do zrozumienia, że ponieważ plemię jego składa się w części z *neofitów*, a w części z *katechumenów*, nie powinno przeto brać udziału w żadnych zabobonnych ceremoniach i że odtąd do sług Bożych, to jest Biskupa i jego misyonarzy, a nie do *kacyka*, należy zwoływanie zebrań religijnej natury i roztaczanie nad nimi kontroli. Do sług Bożych należy także złożenie Bogu w imieniu całego ludu gorącego podziękowania za pomyślne łowy.

W tym dniu było nas więcej osób w naszej rezydencyi. Miałem u siebie księży Milanesio

i Panaro, katechetę Zanchetta, miejscowego porucznika i trzech majorów z załogi w pobliskiej osadzie Roca. Na widok tego generalnego sztabu Biskupa, daleko bardziej dystyngowanego i potężniejszego, niż jego własny, Sayuhueque stracił zwykłą sobie arogancyę i prosił mię pokornie, abym mu pozwolił przedłużyć przynajmniej do następnego dnia uroczysty obchód *camarujo*. Przewidując atoli rozmaite nadużycia, jakieby mogły stąd wyniknąć, nie chciałem przychylić się do jego prośby, lecz ze swej strony prosiłem uprzejmie, ażeby nie robił tej przykrości przyjacielowi swemu Biskupowi, przybyłemu z tak dalekiej krainy w celu nauczania jego synów i podwładnych prawd wiary świętej i zwyczajów, właściwych chrześcijańskiej cywilizacyi.

Kacyk przyrzekł mi odprawić niezwłocznie do domów wszystkich przybyszów z innych miejscowości i rozwiązać *camarujo*, którego dziwaczne tańce i śpiewy już się rozpoczęły, w pobliżu zaś konno snuli się jeźdzcy, jakby się przygotowując do jakiegoś turnieju. Z obawy jednak, aby Sayuhuequowi nie zabrakło energii, niezbędnej do przerwania obchodu, postanowiliśmy wyręczyć go w tej mierze. Kazałem przygotować trzy wierzchowce, dla siebie i XX. Milanesio i Panaro i ruszyliśmy galopem ku rozległej równinie, gdzie się odbywało *camarujo*.

Gdy dzieci nas zobaczyły, bez żadnego nawet rozkazu ze strony starszych, wróciły do szałasów, czyli *toldos*, kobiety przestały tańczyć, a za ich przykładem poszli mężczyźni z Sayuhuequem na czele, który znikł gdzieś razem ze swymi jeźdzcami, nie chcąc (jak mówił) wyrządzić przykrości *á su amigo el Obispo* (swemu przyjacielowi X. Biskupowi. Od owego czasu nie było już mowy w tych stronach o tym akcie publicznego zabobonu i przesądu, kult zaś prywatny znikł sam przez się i rodziny indyjskie przestały uciekać się do *machi*, czyli czarownicy, lub prosić ją o wygłoszenie egzorcyzmów przeciw *gualichowi*.

4. Ostatnie *camarujo*. — Główni tegoż poplecznicy.

Podczas mej kilkumiesięcznej nieobecności w roku ubiegłym, Sayuhueque i inni *capitanejos* (= wodzowie) zapragnęli wskrzesić *camarujo*, które już od lat ośmiu nie powtarzało się wcale. Celem tego obchodu miała być powszechna prośba do *dobrego ducha* o deszcz, który od roku prawie już nie padał. Był to dla Patagonii okres opłakanej posuchy. Podróżni dusili się prawie od nieznośnego, palącego wiatru, który wzbijał w powietrze tumany kurzu, później zaś malutkie tworzył z nich *medanos* (= piaszczyste pagórki). W taki sposób na żyznych niegdyś łanach nagromadziły się stopniowo piaszczyste kępy, na których tysiące zwierząt ginęły marnie z głodu i pragnienia.

Tym razem wszakże nie sami Indyanie zorganizowali obchód *camarujo*, ale też kilku niegodziwych Europejczyków, handlarzy trunków upajających. Przejęci żądzą złota, panowie ci zawiązali na pozór przyjazne stosunki z wodzami Payteman'em i Linares'em, nawróconymi już na chrystyanizm. Na nieszczęście obaj *capitanejos* ulegli namowom fałszywych i obłudnych swych przyjaciół, którzy własnej tylko szukając korzyści, pragnęli zgubić tyle dusz biednych Indyan za pomocą niemoralności i występku, aby módz sprzedać z niemałym dla siebie zyskiem zabójczy trunek, jaki przywieźli sami dla synów pustyni.

Na miejsce walnego zebrania uczestników powyższego obchodu wyznaczono dolinę Conesa nad rzeką *Rio Negro*, o 40 mil od Patagones. W pobliżu znajduje się piękna laguna, otoczona płaczącemi wierzbami, gdzie niebawem ma stanąć jeden z naszych domów misyjnych.

W *camarujo* zamierzało wziąć udział przeszło 800 Indyan, przybyłych z bliższych i dalszych okolic, a zwłaszcza z nad brzegów rzek *Balcheta*, *Rio Negro* i *Rio Colorado*. Przewodniczył temu obchodowi Sayuhueque, ale w zupełnie odrębnych warunkach, niż za dawnych dobrych czasów, gdy był jeszcze najpotężniejszym *kacykiem*, szanowanym ogólnie na całym obszarze *pampas* (= stepów). Dziś jest to biedny i przygnębiony człowiek, uginający się pod ciężarem przeżytych lat i trosk i ogołocony całkowicie, skutkiem nieszczęśliwych utarczek z argentyńskiemi wojskami, z dawnej aureoli sławy.

Perimontana, która podług mniemania Indyan musi być nadprzyrodzoną istotą, obcującą daleko więcej z *dobrym duchem*, niż z ludźmi, była podczas ostatniego tego *camarujo* kobieta, licząca lat około czterdziestu, trochę zezowata i zeszpecona przez ospę. Każdy Indyanin czci ją i szanuje jak boginię. Jadło jej podczas całego *camarujo* jest bardzo proste, gdyż widocznie pragnie odróżnić się wstrzemięźliwością od reszty krajowców. Czarownica ta nosi czarną szatę i biały fartuch, wygłasza zaklęcia w celu odpędzenia *gualicha*, prosi *dobrego ducha* o upragniony deszcz, przepowiada przyszłość, niebardzo się troszcząc o dokładność w tej mierze, udziela rad publicznie i prywatnie, wypowiada kazania, pełne gróźb lub obietnic, stosownie do okoliczności, a nawet odgrywa rolę doktora wszech nauk lekarskich, lecząc z rozmaitym skutkiem wszystkie bez wyjątku choroby, — słowem, we wszystkich ważniejszych sprawach i potrzebach swoich udają się Indyanie do niej po radę, jakby do wyroczni.

Taka *machi* widzi mi się być opętaną od dyabła. W czasie misyi, jaką odbywaliśmy w Chichinal, przychodziła na naukę katechizmu także jedna taka *machi* i brała udział w nabożeństwie, nie chciała się jednakże nawrócić. Nosiła ubiór kobiecy, lecz z głosu i rysów twarzy podobną była więcej do mężczyzny. Wyznaję otwarcie, że pomimo, iż dwa miesiące przeszło przebywałem wpośród jej *szczepu*, nigdy nie mogłem się upewnić co się tyczy jej płci; a nawet sami Indyanie szeptali mi, jedni: *es hombre*! (= to mężczyzna!), inni znowu: *no, es mujer*! (= nie, to kobieta!).

5. Rozpoczęcie obchodu *camarujo*. — Dzień pierwszy.

Podczas zabobonnego obchodu *camarujo*, czarownica, czyli *perimontán*, wybiera dwóch chłopców, którzy aż do końca tej uroczystości noszą tytuł *pigihueu* (czyli *wybranych*). Każdy z nich służyć musi za *medium* (= pośrednika) pomiędzy *dobrym duchem* a ludźmi.

Obaj chłopcy przez dni kilka muszą być zamknięci w odosobnionej chacie, żadnych ze światem zewnętrznym nie utrzymując stosunków. Sama *perimontan* trzy razy dziennie przyrządza im jadło, a wreszcie uwolniwszy ich z improwizowanego więzienia, każe jednemu z nich dosiąść konia *kasztanowatego*, drugiemu zaś *białego*, i przedstawia ich wtedy rozmaitym plemionom ze swymi *capitanejos*, czyli wodzami na czele. Wojownicy, uzbrojeni we włócznie, tworzą niby żywy szpaler, w obrębie którego ustawiają się porządnie i systematycznie cztery odrębne koła, złożone z mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt.

W chwili ukazania się *perimontán* wraz z jej dwoma *wybranymi*, przy odgłosie bębnów, piszczałek i *trutruccos*, czyli trąbek ze trzciny lub wołowych rogów, wszyscy obecni zaczynają dzikie wydawać okrzyki. Wówczas *perimontán* przybiera tajemniczą i uroczystą minę, przedstawia tłumowi *kacyka*, który ma przewodniczyć *camarujo*, ogłaszając zarazem, iż ta uroczystość potrwa trzy dni, każdego zaś dnia, rano i popołudniu, odbędą się zebrania. Nadto czarownica zakazuje surowo opuszczać *pexum*, czyli miejsce zebrania, używać jakichkolwiek trunków, zalecając przytem milczenie, powagę, wstrzemięźliwość i t. p. Z kolei jeden wódz, czyli *capitanejo*, pyta ją o cel tego *camarujo* i o to, co czynić należy, aby zjednać sobie opiekę *dobrego ducha*. Czarownica odpowiada, iż święty ten obrzęd ma na celu wspólną, powszechną modlitwę o deszcz, o uchronienie rodzin od chorób i innych nieszczęść, bydło zaś od zarazy.

Przed kilkoma laty ta sama wieszczka była przez czas pewien w V i e d m a, gdzie codziennie z natężoną uwagą słuchała kazań i nauk naszych misyonarzy. Przemowy więc jej z samej natury rzeczy są mieszaniną pojęć pogańskich i prawd Wiary naszej, jakie słyszała na misyach. Udając doskonale natchnioną, *perimontán* mówiła co następuje: „*Wielu z was wyobraża sobie, że Bóg nie kocha ani I n d y a n, ani w ogóle ubogich. Mylicie się jednak, Bóg sam mi powiedział, że nas bardziej kocha, niż wszystkich innych ludzi, i że bogaci, którzy nas krzywdzą lub oszukują, wstrętnymi są dla Niego. Chrześcijanie* — tą nazwą oznacza czarownica a r g e n t y ń s k i c h żołnierzy i kupców e u r o p e j s k i c h — *okrutnie względem nas postąpili, odbierając nam synów i przywłaszczając sobie nasze bydło.*"

Jest to niestety nader smutną prawdą, nie przynoszącą wcale zaszczytu „ucywilizowanym" niby ludziom. Podczas wojen z roku 1881 i 1883 żołnierze wydarli przemocą I n d y a n o m niemal całe ich mienie, złożone wyłącznie z trzód. Co gorsza zaś, oto, jeżeli nie mordowali rodzin, to je rozdzielali w barbarzyński prawdziwie sposób. Najstarsi synowie musieli chcąc nie chcąc zaciągnąć się do wojska, młodszych zaś, bądź rozdzielili między siebie, bądź darowali ludziom prywatnym; biednym rodzicom nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się ze swym opłakanym losem i pędzić resztę życia w smutku i rozpaczy. W P a t a g o n e s pewien I n d y a n i n, któremu żołnierze w powyżej opisany sposób wydarli wszystkie dzieci, rozszalały z bólu i nie zdając już sobie z rozpaczy dokładnej sprawy z tego, co czyni, roztrzaskał główkę najmłodszego synka o koła swego wozu, wołając: „*Niegodziwi chrześcijanie! Tego przynajmniej mi już nie wydrzecie!*"

Wstępną przemowę z powodu otwarcia *camarujo* zakończyła *perimontán* następującym zwrotem: „*Mogę was zapewnić, iż Bóg bardzo kocha ubogich, którzy pracują, strzegą mienia i dbają o dobro swoich panów.*"

6. Dzień drugi. — Libacye i modlitwy. — Pijatyka i orgie.

Nazajutrz o świcie dźwięki *trutrucco* budzą krajowców ze snu. Wszyscy muszą wstać natychmiast i uszykować się w szeregi. Pierwszy z nich składa się z mężczyzn, drugi z kobiet i dzieci. Na czele kroczy *perimontán* w towarzystwie swoich dwóch *pigihueu* (= wybranych). Wszyscy, zwróceni twarzą ku Wschodowi, skąd, jak głoszą azyatyckie ich tradycye, przybyli niegdyś ich przodkowie, składają *dobremu duchowi* w ofierze to, co mają pod ręką, jak np.: mąkę, cukier, *erba mathe* (= paraguajską herbatę) i t. p. Jednocześnie *perimontán* odmawia głośno następującą modlitwę, która, jak to czytelnicy nasi zapewne sami spostrzegą, posiada liczne chrześcijańskie cechy: „*Tam w górze,*" mówi, wskazując ręką niebo, „*mieszka Bóg, któremu ludzie obowiązani są ulegać. On rozkazuje wiatrom, deszczom, zwierzętom, chorobom i zarazom, bo jest najwyższym Panem wszech rzeczy. Jeżeli człowiek okazuje względem Niego cześć i posłuszeństwo, w takim razie Bóg ześle upragniony deszcz i wypędzi* **gualicha**, *tego zaś, kto się upija, bije swą żonę, lub nie dba o dzieci, Bóg ukarze surowo, pozostawiając w nędzy i opuszczeniu.*"

Ponieważ zaś pijatyka, bicie żon i zaniedbywanie wszelkiej opieki nad dziećmi są u wszystkich I n d y a n na porządku dziennym, przeto wieszczka ciągnie dalej tymże samym tonem: „*Dobry duch ześle wam deszcz, lecz strzeżcie się pijaństwa, gdyż Bóg nie cierpi pijaków, podobnie, jak nienawidzi tego, kto bije swą żonę, lub nie troszczy się o dzieci! O najwyższy Duchu,* **gualicho** *nie bierze żadnego udziału w tem* **camarujo**, *bo został wypędzony przez Ciebie! Ześlij nam jeszcze deszcz, gdyż wówczas zazielenią się nasze pastwiska, trzody się utuczą i będziemy mogli „jeść tłusto"* **comer gordo**!"

Potem składając bóstwu w ofierze mąkę, trzymaną w ręku, dodaje: „*Wielki* **Amo** (= panie)! *to dla Ciebie!*" i to rzekłszy, wysypuje mąkę, którą wiatr unosi w powietrzu. „*Nie możemy dać Ci*

więcej," woła na zakończenie, „*ponieważ chrześcijanie ze wszystkiego nas ogołocili. Dawniej byliśmy bogaci, dziś jesteśmy ubodzy.*"

Powyższa ceremonia i modlitwa powtarza się jeszcze po obiedzie, który przy schyłku dnia się odbywa, poczem każdy wraca do swego szałasu, a raczej namiotu, zwanego *toldo*. Składa się on ze czterech słupów, wbitych w ziemię i pokrytych skórą końską lub wołową. Biedni ci ludzie zdają się nawet nie mieć pojęcia o tem, że można lepiej się zabezpieczyć od wiatru i słoty, a nawet na żadne zmiany temperatury najmniejszej nie zwracają uwagi.

Po modlitwie porannej kobiety rozniecają ogień i przyrządzają *mate*, czyli pewien rodzaj herbaty z aromatycznych ziół paragwajskich. Tymczasem mężczyźni zabijają krowę lub konia, piją z upodobaniem ciepłą jeszcze krew biednego zwierzęcia, mięso zaś pieką na ogniu. Wreszcie czarownica, widząc ich chęć do tańca, puszcza wodze nieokiełznanym żądzom dzikich i niebawem rozpoczynają się orgie, stanowiące zwykłe zakończenie wszelkich ich obrzędów i uroczystości. Wówczas krajowcy zapominają o *camarujo*, deszczu, *dobrym duchu*, a nawet o *gualichu*, oddając się z zapałem dziwacznym i szalonym tańcom, lub racząc się wódką, aż dopóki nawpół żywi ze znużenia i nadużycia trunku nie padną na ziemię.

Roku 1887, przebywając w Chichinal, nie umiałbym powiedzieć, ile razy znajdowałem kacyka SAYUHUEQUE pogrążonego we śnie pijackim; nieraz musiałem czekać parę dni, zanim przyszedł do siebie, tak iżby można rozsądnie z nim pomówić. Na nic się zdały wszystkie moje przedstawienia i nagany, ażeby się nie upijał i wydalił ze swego *toldo* trzy z czterech żon, jakie miał, i żył tylko z jedną, stosownie do przepisów wiary chrześcijańskiej i praw państwowych. Dwaj jego starsi synowie nawrócili się, wszystkie dzieci młodsze przyjęły chrzest, SAYUHUEQUE jednakże nie dał się nakłonić do tego, nie chcąc porzucić swoich żon.

Za ten swój upór spotkała go teraz kara, i to za sprawą samejże czarownicy.

7. Dzień trzeci. — Zrzucenie kacyka SAYUHUEQUE z urzędu, a wyniesienie na jego miejsce YANCUCHE.

Trzeciego dnia, po tak wstrętnych zabawach, większa część uczestników odzyskuje już zwykłe przytomność. Na trzeci więc dzień o świcie zbierają się znowu wszyscy na rozległej równinie, ale po większej części bladzi, bosi i w stroju, godnym politowania.

Przy dźwiękach *trutrucco*, bębnów i piszczałek, mężczyźni dosiadają koni i szykują się w porządku, tworząc ogromne koło, w którem w pierwszej linii stają kobiety, w drugiej dziewczęta, młodzież zaś męska zajmuje jego środek. Wówczas rozpoczyna się *parún*, czyli tańce. Młodzi wojownicy, uzbrojeni we włócznie, wykonywują rozmaite gimnastyczne ćwiczenia, dokoła nich poważnie krążą kobiety, trzymając się za ręce, dzieci zaś idą również za przykładem swych matek. Tymczasem jeźdzcy stoją spokojnie, śpiewając chórem pieśń na cześć jakiego nieustraszonego i walecznego *kacyka* i kropią obficie wodą żony swe i dzieci, dopóki ich nie zmoczą od stóp do głowy.

Europejczyk, któremu zdarza się być świadkiem podobnej sceny, zostaje nią oszołomiony tak dalece, że doznaje zawrotu głowy i po niejakim czasie nie może chwilowo zdać sobie sprawy z tego, co się z nim samym i dokoła niego dzieje.

Przy końcu tańców SAYUHUEQUE, stary król *Pampas* i najpotężniejszy *kacyk* w całej Patagonii, w następujący sposób przemówił do dawnych swych podwładnych:

„*Posiadałem niegdyś rozległe obszary, lecz Bóg zesłał na nie posuchę. Miałem mnóstwo prześlicznych koni, lecz Bóg przysłał do Patagonii żołnierzy rządu argentyńskiego, którzy podbili tę krainę i wydarli całe moje mienie. Byłem niegdyś bogaty, teraz zaś jestem ubogi. Wiatr zburzył moje* toldos, *ogień słonecznych promieni spalił naszą ziemię,* SAYUHUEQUE *zaś się zestarzał, został nędzarzem i żyje obecnie jakby na wygnaniu.*"

Przy tych słowach oczy jego napełniły się łzami, od czasu do czasu wszakże gwałtowne jego ruchy i płomienne spojrzenia zdradzały uczucie gniewu i skrytą żądzę zemsty.

Z kolei po SAYUHUEQUE zabrała głos *perimontán*, mówiąc zebranemu tłumowi to, czego on bynajmniej nie spodziewał się usłyszeć. Oto mniej więcej jej słowa:

„*Widziałam* SAYUHUEQUE'*a u szczytu potęgi i wielkości.*
Dziś Bóg mię powołał do ogłoszenia na ciebie wyroku:
Krzywdziłeś nieraz swych braci.
Kradłeś konie u swoich rodaków.
Miałeś cztery żony.
Widziałam cię i Bóg cię ukarał.
Bóg nie lubi tych, co się upijają.
Będziesz zawsze ubogim, ponieważ ciągle się upijasz.
Odtąd nie jesteś już kacykiem."

Nie zdołam opisać przerażenia biednego SAYUHUEQUE'a w chwili, gdy usłyszał niespodzianie tak surowy wyrok. Biedak zaczął drżeć konwulsyjnie, zwiesił głowę na piersi i padł w objęcia kilku najstarszych i najwierniejszych swoich wojowników.

Miejsce jego zajął młody wódz plemienia YANCUCHE, rozumiejący należycie swoje obowiązki i który zostawszy przezemnie ochrzczonym w roku 1886, wyrzekł się dobrowolnie, jako dobry chrześcijanin, wielożeństwa i wszelkich praktyk pogańskich. Na ostatniem zebraniu podczas *camarujo*, dzicy, umiejący cenić wyżej cnotę, niż waleczność, i ucieszeni szczerze wyborem nowego wodza, odśpiewali, tańcząc, pieśń ułożoną naprędce na cześć młodego *capitanejo*. Oto tekst owej pieśni:

„*Od kolebki byłeś mężnym i walecznym.*
Ojciec twój był kacykiem, *a tyś został* capitanejo.



Kacyk YANCUCHE,

jego tłómacz, jego żona i syn.

Byłeś zawsze pokornym i uległym względem chrześcijan.
Bóg cię wziął pod swoją opiekę.
Przez ciebie SAYUHUEQUE *został rozbrojony, dzięki tobie musiał on się poddać.*
Albowiem Bóg czuwał nad tobą.
On dał ci rozległe łany, on zesłał na nie deszcz ożywczy, i od zarazy uchronił twą trzodę.
Zwyciężyłeś tygrysa i przywiodłeś dla swojej żony mnóstwo lwów, powiązanych powrozem.
Ty będziesz kacykiem!
Bóg mi to powiedział."

8. Koniec *camarujo.*

Zakończenie *camarujo* bardziej może nawet, niż cały jego przebieg, zasługuje na uwagę.

Około dwóchset jeźdzców otacza zwartem kołem dwa byki, z których jeden musi być *czarny*, a drugi *biały*. Ponieważ koło, złożone z ludzi, coraz bardziej stopniowo się zacieśnia, biedne więc zwierzęta, nie mogąc już nareszcie swobodnie się poruszać, oddają się na łaskę lub niełaskę swoich prześladowców, Indyanie zaś, wierni dawnym tradycyom swego plemienia, ucinają obu bykom uszy i swobodnie puszczają je na stepy. Odtąd nikt nie ma prawa dotknąć tych zwierząt, gdyż niosą one ze sobą, podług mniemania dzikich, samego *gualicha* i wszelkie nieszczęścia, dolegliwości i choroby, jakiemi ten *zły duch* zwykł trapić biednych ludzi. Wypędzeniem byków kończy się zwykle ceremonia, przepisana na *trzeci* dzień uroczystości, a zarazem i całe *camarujo.* Najczęściej jednak *borrachera*, czyli pijatyka, i połączone z nią orgie, trwają jeszcze dni kilka, zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet.

A deszcz?

W przeciągu całego tygodnia czarownica kazała im oczekiwać tego upragnionego deszczu, a wreszcie widząc, że napróżno prosiła o niego dla doliny *Conesa*, podobnie jak niegdyś kapłani Balaama nie zdołali go sprowadzić na górę *Karmelu*, kazała im ósmego wieczora przygotować wory skórzane, ponieważ w nocy, jak mówiła, z pewnością nastąpi ulewa. Niestety, zamiast deszczu, spadł piasek, w nocy bowiem zerwał się niespodzianie gwałtowny uragan, zwany *tormento* albo *pampero*, a wzbijający zwykle w powietrze olbrzymie tumany kurzu.

Niezmięszana tem wcale wieszczka oświadczyła, iż dopóty deszcz nie będzie padał, dopóki Indyanie nie wrócą do odległych swych *toldos* na *Pampas.* Po sześciu dopiero miesiącach, gdy we wszystkich naszych stacyach misyjnych w Patagonii zaczęliśmy odprawiać na tę intencyę nowenny do Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, błagając Ją o wstawienie się do Boga, — Ten, który rozkazuje wiatrom i morzu, zesłał nam deszcz obfity i wielce dobroczynny. Wówczas pola się zazieleniły, zwierzęta i ptaki odżyły, Indyanie zaś przekonali się raz jeszcze, iż zabobon musi ustąpić przed prawdziwą religią.

Należało jednak zapobiedz na przyszłość tego rodzaju zebraniom, z których wielu Indyan, nawróconych już i ochrzczonych, lub przygotowujących się dopiero do tego ważnego aktu, odnosi zgorszenie, niemoralność zaś i zepsucie przedziera się stopniowo do sąsiednich kolonii. Po powrocie z Europy zwróciłem się do władz rządowych z prośbą o poparcie w tej mierze i wyjednałem całkowite zniesienie tak zabobonnego zwyczaju, który w kraju katolickim, wpośród ludności, podległej chrześcijańskiej religii i cywilizacyi, powinienby już oddawna być wykorzenionym.

Możemy się spodziewać, że odtąd *camarujo* utrzyma się już chyba tylko wpośród Indyan, największą od nas oddzielonych przestrzenią i koczujących nad brzegami rzek lub jezior, albo też na pokrytych śniegiem i lodem stokach *Kordylierów.* Od chwili założenia tutejszego *Wikaryatu Apostolskiego,* to jest od lat piętnastu, misyonarze nasi odwiedzają ciągle koczowniczych Indyan we własnych ich *toldos*, kształcąc synów tych dzikich, ich zaś samych ściągając powoli do kaplic lub kościołów i rozsiewając wśród ciemnych tych ludzi zbawienne promienie świętej naszej Wiary.

Jeżeli zaś w przyszłości, jak się spodziewam, **Pomocnicy** zechcą nas wspierać, jak dotąd, *modlitwą i jałmużną*, to już może wkrótce zdołamy dokonać dzieła odrodzenia Patagonii i zapanuje w niej błoga jedność wiary, religijnego kultu, tudzież ofiar i modlitw na cześć *Boga żywego i prawdziwego, Stwórcy nieba i ziemi.*

X. Stanisław Cynalewski.



ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Gwiazda morza, Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych, wybawia od zatonięcia naszych misyonarzy.

Montevideo (rzeczp. Uruguay, Ameryka południowa), dnia 21 listopada 1897.

WIELEBNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

Wszyscy misyonarze salezyańscy, którzyśmy odpłynęli byli z portu genueńskiego dnia 1go listopada 1897 r. na statku *Sirio,* stanęliśmy oto po 18 dniach podróży za łaską Bożą i pomocą Najświętszej Maryi Panny, Wspo-

możenia Wiernych, szczęśliwie na ziemi amerykańskiej.

Zaraz w pierwszym dniu naszego pobytu w *nowym świecie* otrzymaliśmy tak wyraźny dowód łaskawej Jej nad nami Opieki, że postanowiliśmy wszyscy bez wyjątku nową tę łaskę przemożnej Opiekunki ogłosić w *buletynie* salezyańskim. Włosi wysłali już list z jej opisem do Turynu, my Polacy (tj. kl. Drzymała, Fligier i ja) zabraliśmy się również natychmiast do dzieła, aby ją skreślić i na chwałę Najświętszej Wspomożycielki a pożytek zbawienny naszych salezyańskich **Pomocników** ogłosić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Dnia 19go listopada, o pół do dwunastej, nasz *Sirio* zarzucił kotwicę w zatoce Montevideo, w odległości dwóch kilometrów od miasta i właściwej jego przystani, do której, dla różnych trudności, nie mógł zawinąć. Niezadługo przybyli z miasta XX. Gamba, Colombo i jeszcze jeden, Przełożeni domów salezyańskich w Montevideo. Zaprosiny ich, ażebyśmy wysiedli na ląd i zwiedzili zakłady, jakie w stolicy rzeczypospolitej uruguayskiej posiadamy, przyjęliśmy z najżywszą radością.

O pół do pierwszej po południu, po tak długim czasie, po tylu burzach i ciężkich przeprawach, czuliśmy nareszcie tyle upragniony stały ląd pod naszymi stopami, po raz pierwszy stąpaliśmy po ziemi amerykańskiej. Panu Bogu niech zato będzie chwała, a dzięki i cześć Najświętszej Wspomożycielce!

Zwiedziliśmy najprzód dom pod wezwaniem Najsłodszego Serca Jezusowego, potem obszerne, nie ze wszystkiem jeszcze wykończone *Talleres de Don Bosco* (= *zakłady*, albo *warsztaty* imienia X. Bosko). Tam mieliśmy sposobność podziwiać pojętność i wprawę młodzieży naszej rzemieślniczej, jak również wielki ład i porządek we wszystkiem. Po obiedzie, w czasie którego przygrywała nam kapela zakładu, udaliśmy się (o ½ 6 na wieczór) do portu. O ile z pobieżnego rzutu oka na domy i ulice, przez jakie przechodziliśmy, można wnioskować, wygląda Montevideo na bardzo czyste i zamożne miasto. Domy są po większej części parterowe, a zaledwie dziesiąta ich część dźwiga na sobie lekkie piąterko. Przechodziliśmy również przez plac, gdzie kilka miesięcy temu zasztyletowano Prezydenta rzeczypospolitej uruguayskiej, w chwili gdy co dopiero wyszedł był z kościoła katedralnego, prowadząc X. Arcybiskupa pod ramię.

Przybyliśmy nareszcie do przystani. Czekał tam już na nas z góry zamówiony mały parowiec. Nie tracąc czasu, objęliśmy go zaraz w posiadanie. Było nas tam wszystkich misyonarzy i misyonarek: 12 zakonnic, 1 ksiądz i 24 kleryków (pomiędzy nimi my trzej Polacy). Zakonnice umieściły się w kajucie, kilku z nas siedziało na ławie naokoło niej, kilku zajęło ławki, ustawione w czworobok w środkowej części pokładu, czterech ulokowało się na ławeczce w tylnej części parowca.

Pożegnawszy słowami i ukłonem nader sympatyczną ludność, stojącą na pomoście, która nas żegnała okrzykami i powiewaniem chustek, minęliśmy szereg łódek i bark, znajdujących się w przystani, poczem wypłynęliśmy na otwarte morze, kierując się ku naszemu *Sirio*. Tu dopiero spostrzegliśmy, że morze zaczęło na dobre bałwanić; niezadługo niebo zaległo ciemnemi chmurami, ciemność zapanowała także na morzu, tak że jeden drugiego prawie nie widzieliśmy, na domiar złego zerwał się wicher, który począł rzucać naszym okręcikiem tak, jak gdyby to była łupina od orzecha.

Z początku żartowaliśmy sobie z tej burzy w zatoce Montevideo: inne my już przetrwaliśmy nawałnice w ciągu naszej podróży na Atlantyku! Jeden z nas zauważył, że przecież nie stanie się z nami tak, jak z owym jegomościem (zapewne nałogowym pijakiem), który przeprawiwszy się szczęśliwie przez Ocean atlantycki, utopił się w rynsztoku w Nowym Yorku. Nie baliśmy się więc burzy, my, bywalce i z podobnemi przygodami dobrze obeznani pasażerowie *Sirio*. Kiedy jednakże bałwany poczęły róść i przedstawiać się nam jakoby pagórki, gdy zaczęliśmy odbywać na ich szczytach szaloną huśtawkę, raz wznosząc się w górę, to znowu zapadając w przepaść, kiedy potężne wały morskie wzięły bić w ściany małego statku i przechylać go to na tę, to na ową stronę, pojęliśmy, że to nie żarty i że zaskoczyła nas prawdziwa burza. Cóż było robić w tak krytycznem położeniu? Śmialiśmy się jeszcze, gdy jaki taki bałwan morski, rozbiwszy się o bok parowca, bryznął nam w twarz słoną wodę, co nas zmuszało ciągle ją wypluwać, kiedy jednakże całe bałwany zaczęły się do statku wdzierać, zalewając pokład, zrozumieliśmy, że śmierć zajrzała nam w oczy. Widzieliśmy, jak potężne fale, piętrząc się jedna za drugą, rzucały się na nas, jak gdyby jakie góry, a my, szepcąc słowa modlitwy, pochylaliśmy głowy i dawaliśmy im przejść po sobie, trzymając się ławki z całą siłą oburącz. Szczęściem dla nas, ławy tu i owdzie były

przedziurawione, tak iż od biedy było się czego chwycić, i że majtkowie zaraz wodę ze statku wylewali: inaczej, bałwany byłyby nas z pokładu zmiotły, nie wiedzieć ile razy. Obawiając się właśnie tego i chcąc ułatwić nam trzymanie się na pokładzie, podali nam majtkowie linę okrętową, przymocowawszy ją na jednym końcu; współbracia nasi (w ich liczbie także X. dyrektor), zajmujący środek okręcika, pochwytali się silnie jeden drugiego, tak iż gdyby ich fala była zrzuciła z pokładu, wpadliby do morza wszyscy razem.

Widząc śmierć przed sobą, modliliśmy się głośno i polecali to Najsłodszemu Sercu Jezusowemu, to Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce, wzywaliśmy także przyczynienia się za nami Ojca naszego, księdza Bosko, były to jednak raczej akty strzeliste i westchnienia, gdyż ani jednej modlitwy nie podobna było ukończyć, — tak często następowały przerwy i tak gęsto przewalały się po nas bałwany. Tylko hymn na cześć Matki Boskiej *„Ave maris Stella,“* acz z przerwami, udało się nam dośpiewać do końca.

Pomimo strasznego położenia, bynajmniej nie straciliśmy otuchy. Dziwnej-bo odwagi i nieustraszonego męstwa dodaje nabożeństwo do Najśw. Maryi Panny! Oddawszy się Jej gorąco i poleciwszy siebie i współbraci, modliliśmy się żarliwie, ale spokojnie; jęków, ani okrzyków rozpaczy, nie było pomiędzy nami.

Tymczasem, lubo z wielkim wysiłkiem, zbliżaliśmy się ku statkowi *Sirio.* „Byleby nas tylko spostrzegli,“ tak mówiliśmy sobie, „to nie dadzą nam zginąć.“ Wtem przychodzi majtek i zabiera nam linę. Powiada do tych, co siedzieli w tyle okręcika:

—„Jesteśmy już blisko *Sirio* i potrzeba mi liny.“

Po chwili przyskakuje do nas inny znowu majtek i spędza nas z ławy.

—„Zleźcie stąd!“ woła rubasznie, „muszę wszystkie liny powyciągać!“

—„A gdzież my się podziejemy?“

—„Pokładźcie się pokotem na podłogę!“

I nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, zaczęli marynarze swoje manewry.

„Co tu robić? Ani chybi, powpadamy wszyscy w morze,“ pomyśleliśmy sobie; wtem z grupy współbraci, zbitej w kłębek na około X. dyrektora, a zajmującej czworobok, utworzony z ławek, w środkowej części małego parowca, woła ktoś:

—„Chwyćcie się nas za nogi!“

Tak też uczyniliśmy i temu mamy do zawdzięczenia, że przy ustawicznem przechylaniu się okręcika, żaden z nas nie skulnął się do wody.

Zabrzmiał na nowo hymn do Matki Boskiej, tym razem i silniej i z większą otuchą śpiewany, gdyż już zbliżyliśmy się do *Sirio.*

Tu miał być kres naszej przeprawy, tu widzieliśmy się już bezpieczni, — lecz jakie nas spotkało rozczarowanie! Tu właśnie, tuż przy *Sirio*, niebezpieczeństwo było największem. Potężne bowiem fale morskie, łamiąc się o ściany parostatku, wracały spienione wstecz, unosząc ze sobą nasz lekki okręcik i żadną miarą nie dopuszczając nam się przybliżyć.

Na nic zdały się wszelkie wysiłki naszych majtków. Z pokładu *Sirio* przyglądała się nam prawie cała jego załoga, a my zawsze, to zbliżaliśmy się do niego, to znowu byliśmy odeń odrzuceni. Po długiej, bezowocnej pracy, widzieliśmy, że wszystkie trudy były daremne i że nadzieja, jaką pokładaliśmy w *Sirio,* nas zawiodła. Jego kapitan krzyczał do nas, ile miał sił:

—„*A terra! a terra!*“ (= do lądu! wracajcie nazad!).

Niedawni współpasażerowie nasi i towarzysze długiej, morskiej podróży, stojąc na pokładzie *Sirio* i widząc próżne nasze starania, by dostać się na niego, załamywali ręce, wołając: „*Sono perduti! sono perduti!* (=zginęli! już po nich!) i prawie płakali o nas.

Za natchnieniem z góry, udzielonem bez wątpienia od Tej, której Imię było ciągle na naszych ustach, uznał kapitan naszego małego parowca bezowocność dalszych wysiłków i kazał jego przód skierować ku Montevideo.

Rozpoczął się teraz powrót, z wielkiem połączony niebezpieczeństwem, gdyż statek napełniony był wodą i obawialiśmy się na seryo ażeby kocieł nie pękł i nas wszystkich w powietrze nie wysadził. Tem gorętsze jednak były nasze modlitwy, wrzuciliśmy w spienione fale kilka medalików Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, prawie każdy z nas uczynił Najświętszej Pannie jakiś ślub, — i tak przybyliśmy wreszcie bez wypadku do portu, zmoknięci do suchej nitki, z zawrotem głowy i na pół oszołomieni, ręce mając prawie martwe, każdy bowiem trzymał się, czego mógł, i to tak silnie, że mu aż ręce pocierpły.

Był to prawdziwy cud, cała ta nasza wyprawa do *Sirio* i powrót do przystani, — cud, który uznali samiż majtkowie, którzy nas wieźli, — do zawdzięczenia zaś mamy go wyłącznie Królowej nieba i ziemi, Gwiaździe

morza, Najświętszej Wspomożycielce, której cześć i chwała niech będzie po wszystkie wieki wieków.

Zatrzymałem się tu na kilkanaście dni w Montevideo i czekam na okręt, który mnie ma zawieźć do Ziemi Ognistej. Drzymała i Fligier udali się wraz z innymi do Buenos Ayres.

Czeka mnie jeszcze dosyć długa podróż, potrzebuję więc koniecznie modlitwy. Módlcie się za mną, kochani bracia-rodacy, ale wraz ze mną nie ustawajcie wychwalać i głosić czci Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.

Kl. Szymon Wolny.

***

Najświętsza Wspomożycielka pomaga zawsze! — Dzięki serdeczne Matce Najświętszej, Wspomożeniu Chrześcijan, za wysłuchaną prośbę o uzdrowienie zięcia mego i że z pomocą Boską potrafiłam w niebytności Rodziców zachować w zdrowiu ich dziatki! Wywięzując się z mojej obietnicy, na podziękowanie składam na cele salezyańskie i posyłam przekazem 5 złr., polecając siebie i swoją rodzinę modlitwom WW. Ojców.

Spasów (Galicya).

Z. Szymanowska.

***

Najśw. Wspomożycielka Chrześcijan chce i może ratować, trzeba Ją tylko o to z ufnością i gorąco prosić. — We wrześniu b. r. prosiłam Wiel. Ojca o nowennę w Oratoryum turyńskiem na intencyą Męża mego, zrobiwszy przytem postanowienie, że jeżeli Najśw. Marya Panna, Wspomożycielka Wiernych, prośbę mą wysłucha, to publicznie w „**Wiadomościach salezyańskich**“ za tę łaskę podziękuję.

Chociaż cierpienia Męża mego zupełnie jeszcze nie ustąpiły, to jednakże bóle, które mu przedtem dolegały, rzadziej przychodzą i nie są tak silne, poczuwam się przeto do obowiązku złożenia Najświętszej Matce, Wspomożycielce Wiernych, serdecznego podziękowania, błagając Ją, by w Swem nieograniczonem Miłosierdziu to, co rozpoczęła, raczyła dokończyć, — wracając zupełne zdrowie Mężowi mojemu.

Na cele salezyańskie posyłam 5 złr., a drugie 5 złr. z prośbą o nowennę na intencyę ubłagania u Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki pomocy w trudnem położeniu.

Łęki górne (Galicya).

Anna Jędrzejowicz.

***

Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Chrześcijan, jest także dobrą adwokatką. — W kwietniu r. b. byłem posądzony o zbrodnię sprzeniewierzenia, rzekomo popełnione na tutejszym dworcu kolei żelaznej. W dzień rozprawy sądowej, znajdując się już w izbie karnej, szeptałem od czasu do czasu słowa modlitwy i różne akty strzeliste do Najświętszej naszej Wspomożycielki, błagając Ją, ażeby, znając i widząc moją niewinność, raczyła być moją adwokatką. Wezwałem był wprawdzie przedtem w pomoc także adwokata, ale ten, nie wiem z jakiej przyczyny, spóźnił się na rozprawę i wszedł do izby sądowej, gdy już się mój termin ukończył. Nie miałem za sobą żadnego świadka, a przeciw sobie dwóch urzędników kolejowych, i to nie lada jakich. Tymczasem, po złożeniu przysięgi i przesłuchaniu stron obojga, cóż się stało? Oto sędzia oznajmia moją niewinność, a moich



Najświętsza Marya Panna,
Wspomożenie Wiernych.

przeciwników jeszcze łaje! Za co całem sercem dzięki składam potężnej Wspomożycielce, a Bogu Wszechmocnemu niech będzie wieczna chwała za to, iż nam dał tak dobrą i łaskawą Wspomożycielkę we wszystkich naszych utrapieniach.

Proszę to moje podziękowanie umieścić w **„Wiadomościach salezyańskich“** i przyjąć serdeczne „*Bóg zapłać!*“ za nowennę.

Katowice (Górny Śląsk).

Karol Strzoda.

***

Nowe łaski, jakich Bóg udzielić raczył za wstawieniem Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Chrześcijan. — Córka moja przez dłuższy czas chorowała na oczy, tak iż niewiele mogła widzieć. Strapiona matka prosiłam o nowennę dziatek z Oratoryum turyńskiego. Skoro ta nowenna w Turynie się odprawiła, czuje się córka moja zupełnie zdrową na te oczy, tak iż ani śladu niema choroby. Za tak widoczną łaskę, udzieloną mnie niegodnej, składam serdeczne dzięki Panu Bogu i Matce Najświętszej Wspomożycielce.

Godullahuta (Górny Śląsk).

Marta Świerz.

Wspomożycielce Wiernych, za pośrednictwem **„Wiadomości“** zasyłam serdeczne podziękowanie za uzdrowienie mojej dzieciny, która przez dłuższy czas była chorą, lecz teraz, po odprawieniu Mszy św. w kościele salezyańskim *Matki Boskiej Wspomożenia* w Turynie zupełnie wyzdrowiała.

Świętochlowice (Górny Śląsk).

Albina Młynarek, wraz z mężem.

Najświętszej Wspomożycielce zasyłam serdeczne dziękczynienie za widoczną pomoc w trudnem położeniu. Miano mi zrobić operacyą w boku, blisko serca. Chodziło o śmierć lub życie. Prosiłem o nowennę w Oratoryum turyńskiem, i to właśnie w tym czasie, kiedy owa ciężka operacya miała się odbyć. Dzięki niebieskiej Lekarce udała się doskonale i jestem teraz zdrów.

Rozbark (Górny Śląsk).

Mikołaj Matuszek.

Nadsyłam 2 marki ofiary na potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego na podziękowanie za odebrane łaski za przyczyną Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki Chrześcijan.

Teofil Bartoś.

Chropaczów (Górny Śląsk).

Najpokorniejsze dzięki za pociechę, doznaną od Najświętszej Wspomożycielki w ciężkiem utrapieniu ducha, składa najniegodniejsza Jej córka.

A. W.

Laurahütte (Górny Śląsk).

Również ja składam serdeczne dzięki Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za wszelkie łaski, od Niej otrzymane.

Klara Widawska.

Godullahuta (Górny Śląsk).

Za otrzymane łaski składają dalej Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce:

p. Exner (z Górnego Śląska);

Ewa Kowalik (Górny Śląsk), za przywrócenie zdrowia;

Prokop Jarmółowicz z Wygnanki górnej (Galicya) za odzyskanie zdrowia;

I. Rogalewski, nauczyciel z Pierzewa (Prusy Zachodnie).

Nadsyłając ofiarę na światło przed cudowny obraz Matki Boskiej Wspomożycielki w Turynie, wywięzuję się temsamem Najświętszej Panience, Wspomożeniu Wiernych, z danej obietnicy i dziękuję Jej za wszelkie łaski, które mi potężną przyczyną Swoją u Pana Jezusa była wyjednała, a błagam Ją pokornie, iżby mnie tak za życia, jak i w godzinę śmierci nie opuściła.

Wilhelminahuta (Górny Śląsk).

Joanna Wollny.

Posyłam Wam ofiarę, częścią odemnie, częścią od różnych pobożnych dusz, jako mały podarek gwiazdkowy dla Was i dla ubogiej dziatwy, ćwiczącej się w Waszych zakładach, ażeby przez tę przesyłkę Najświętszej Wspomożycielce jak najpokorniej podziękować

— na mocy uczynionego ślubu — za pewną odebraną łaskę.

Załęże (Górny Śląsk).

Marcin Wozipiwo.

Synowi memu Walentemu, zaraz od tego czasu, kiedym go oddał pod Opiekę Najsłodszego Serca Jezusowego za przyczyną Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, polepszyło się widocznie, zaraźliwa choroba ustała i tak dzisiaj może już sam wstawać i potrawami, które mu się podają, karmić. Za tę łaskę otrzymaną dzięki składam i aż do śmierci składać będę Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Wspomożycielce. O jej ogłoszenie w **„Wiadomościach salezyańskich"** upraszam gorąco, aby wszyscy grzesznicy we wszelakich potrzebach swoich tylko do Serca Jezusowego za przyczyną Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, o pomoc się uciekali, bo to jest jedyny Lekarz niebieski, który chorych uzdrawia, a nie żaden inny.

Bobrek (Górny Śląsk).

Karol Bless.

Składam 6 marek ofiary na cele i potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego. Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce składam serdeczne podziękowanie za uzdrowienie z pewnej bardzo niebezpiecznej choroby.

Środa (Wielkie Księstwo Poznańskie).

M. K.

Ludwik Malordy składa ofiarę na podziękowanie Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce za odebrane łaski i pomoc.

Tak samo August Kuczyński, nauczyciel w Nakle (W. X. Poznańskie), Karol Korek z Siemianowic na Górnym Śląsku, i małżonkowie Hillingerowie z Pyskowic (Górny Śląsk) za uzdrowienie pięcioletniego chłopca i za szczęśliwie dokonaną operacyę trzechletniego dziewczęcia.

Także my, **Pomocnicy** salezyańscy w Raciborzu, już wiele łask od Pana Boga otrzymaliśmy za wstawieniem Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.

Racibórz (Górny Śląsk).

Joanna Przypadło.

W ostatnim liście prosiłem o modlitwy do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, o uzdrowienie rąk i nóg od reumatyzmu. Ponieważ obecnie jest mi lepiej, a nawet rzadko kiedy ból czuję, załączam niniejszem 10 złr. jako małą ofiarę na podziękowanie za wysłuchanie niegodnych modłów moich.

Proszę o dalsze modły, abym przy nadchodzącym awansie noworocznym nie był pominięty, za co obiecuję znów ofiarę w tej wysokości, albo i większej, złożyć.

Skawina (Galicya).

A. O.

Szymon Lesch z Bytkowa (na Górnym Śląsku) miał niebezpieczny ból w nodze, na który długo musiał leżeć. Nogą nie mógł już ruszać, a straszne boleści mu dokuczały. W tym stanie będąc, razu pewnego zdrzymnął się na chwilę i przyszło mu we śnie, że dobrzeby uczynił, gdyby zmówił pacierz do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Uważając to za natchnienie, uczynił to zaraz, jak tylko ze snu ocknął, skutek zaś modlitwy był taki, iż za kwadrans ustały boleści a on mógł się po izbie przechadzać.

Za łaskę tę otrzymaną niech wiekuiste będą dzięki niebieskiej Lekarce!

Siemianowice (Górny Śląsk).

Petronela Ryssok.

Daję do wiadomości Wiel. Ojcu, że córka moja Tekla cierpiała przez trzy lata na pryszcze, którymi całe ciało miała obsypane. Szukaliśmy pomocy u lekarzy, ale żaden przez nich zalecany środek nie skutkował. Jak tylko w Turynie w Oratoryum salezyańskiem rozpoczęła się na jej intencyą nowenna, od razu jej się polepszyło, a pryszcze już się straciły.

Za tę widoczną pomoc najmiłościwszej Matki naszej, Wspomożycielki Chrześcijan, z serca, wdzięcznością pełnego, składamy dzięki, jak również św. Rochowi, i prosimy Wiel. Ojca, ażeby łaskę powyższą we **„Wiadomościach salezyańskich"** ogłosić raczył.

Norok (Górny Śląsk).

Albert i Agnieszka Gabrielowie.

Kilka tygodni temu zwróciłem się był do Wiel. Ojca z prośbą o modlitwy sierot w Oratoryum salezyańskiem w Turynie za moją chorą siostrzenicą. Dzięki Najwyższemu i przyczynie Najśw. Wspomożycielki przyszła już do zdrowia, odmawiając codziennie pobożnie „*Zdrowaś Marya.*“

Ja także już w mojem życiu kilkakroć doznałem widocznej Opieki Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, co, korzystając z niniejszej sposobności, pragnę przynajmniej raz publicznie ogłosić.

Żelaskowo (W. X. Poznańskie).

F. K.

Niech będzie pochwalone Najsłodsze Serce Pana Jezusa i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Dziękując serdecznie za wysłuchanie prośby o uzdrowienie mej żony, która przeszło trzy kwartały na opuchnienie wątroby i niestrawność cierpiała, wywięzuję się z danej obietnicy i przysyłam drobną moją ofiarę na cele salezyańskie.

Chociaż wiele wydaliśmy pieniędzy na lekarstwa, to jednak wszystkie nasze zabiegi najmniejszego nie odniosły skutku; dopiero, gdyśmy się z całą ufnością udali o pomoc do Najświętszej Wspomożycielki, doznaliśmy tej łaski, iż dzisiaj żona moja czuje się znacznie zdrowszą i że nastąpiła widoczna ulga.

Za tę łaskę z całego serca Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, dziękują i nadal się modlitwom OO. Salezyanów polecają

Jelowa (Górny Śląsk).

Stanisław i Cecylia Czurlok.

***

Za łaski otrzymane dziękują:

Hilary Cerowski z Kleszczewa (Prusy Zachodnie) i

Szymon Borszcz z Kłodnicy (Górny Śląsk).

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, wyrażam niniejszem serdeczne dzięki za cudowne wyleczenie mnie z choroby, jakie mi niegodnemu u Boskiego Swego Syna wyprosiła, i to właśnie wtenczas, gdy Wieł. Ojciec wraz ze swymi sierotami (w listopadzie zeszłego roku) w Oratoryum turyńskiem odprawiał za mną nowennę.

Najśw. Marya Panna Wspomożycielka, jak tylu innym, dopomogła także mnie! Lekarz wątpił, czy przyjdę do zdrowia, ponieważ liczę już 70 lat życia i miałem silne zapalenie płuc. A jednak Lekarka niebieska, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przywróciła mnie do życia cudem.

Upraszam o ponowne modlitwy za mną, gdyż w Boże Narodzenie zaniemogłem, ażeby mi Najświętsza Panna, — jeżeli to będzie wolą Boga — także tym razem dopomogła.

Kościerzyna (Prusy Zachodnie).

Juliusz Weber, piekarz.

Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, serdecznie dziękuję, iż mi jeszcze moja żona przy życiu została w tak ciężkiej chorobie, bo już nie było żadnej nadziei. Przywołano lekarza, ale ten kazał najprzód posłać po księdza. Przybył i kapłan, ale z nią nie było nic do czynienia, bo była bez zmysłów. Tylko Oleje święte na nią włożono. Wtedy zrobiłem postanowienie przed Matką Boską, Wspomożycielką Wiernych, że jeżeli Pan Bóg podźwignie moją żonę, tak iż wróci do zdrowia, to będę za tak wielką łaskę co miesiąc 2 marki ofiary składał na rzecz *Schroniska Najsłodszego Serca Jezusowego.*

Na ten miesiąc posyłam pierwszą ofiarę.

Radzionków (Górny Śląsk).

Feliks Frej.

***

Anna Kusch z Martinschacht (Górny Śląsk) składa Najświętszej Wspomożycielce podziękowanie za otrzymanie zdrowia.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.